

rodzina

TYGODNIK KATOLICKI

NR 44 (1054) 2 LISTOPADA 1980 R. CENA 2 ZŁ

W NUMERZE:

Wierzę... w ciała zmartwychwsta-
nie • Pochyl głowę, mój sy-
nu... • Z życia naszych parafii
(Bydgoszcz) • Zaduma nad gro-
bem • Z życia PNKK w USA •
Krwawe dni okupacji • O moich
własnych lekcjach patriotyzmu •
Parady



Dzień Wszystkich Świętych. Wszyscy udają się na cmentarze, aby na mogiłach najbliższych złożyć kwiaty, zapalić lampki i świeczki, wspomnieć tych, których zachowujemy w pamięci swego serca.

Żałobny pochód wśród mogił ozdobionych białymi chryzantemami, wśród szumu drzew i szelestu spadających liści, zawiera w sobie coś niepojęcie smutnego, poważnego, a zarazem zmuszającego do refleksji nad sobą, sensem życia.

Dla chrześcijanina jedyną nadzieją jest Jezus Chrystus, Jego moc Odkupienia oraz ufność i nadzieja osiągnięcia szczęścia wiecznego, jako nagroda za szlachetne życie, za spełnianie obowiązków względem siebie, bliźnich i Boga.

Symbolem tego dnia jest krzyż zatknięty w mogiłę. To taki sam krzyż, który kiedyś wetknięty był na Golgocie. Taki sam krzyż znajdziemy na wieżach gotyckich kościołów i

na wieżyczkach wiejskich kościółków. Zdobí on ołtarze i piersi dostojników kościelnych. Taki sam krzyż będzie i nad moją mogiłą. Nieważne czy on będzie z marmuru, czy tylko z drzewa. Skończą się nasze ideały, wszelkie więzy łączące nas z tym światem: słońce, niebo gwiazdziste, dom, rodzina, dym ludzkiej sławy. Pozostanie krzyż i ja. Ja i wieczność. Wykonało się.

Tego dnia szybko zapada zmrok, tak jak szybko mijają chwile naszego życia. Cmentarz powoli pustoszeje. Jutro znowu przystąpisz do swych zwykłych zajęć, do pracy.

Ja żyję! Cieszysz się. To dobrze. Życie nie może być rozpaczą i smutkiem. Życie ma być radością. Tej radości nie może przyćmić cmentarz. Ponad nim jest Jezus Chrystus, który zapewnił nas: „*Jam jest zmartwychwstanie i żywot. Kto wierzy we Mnie, choćby i umarł, żyć będzie*”.



blizamy się coraz bardziej do końca roku kościelnego, co równocześnie jest przypomnieniem czekającego nas końca doczesnej wędrówki. Korzystając z tej okazji — w tekstach liturgicznych tego okresu — w sposób mistrzowski rozwija przed nami Kościół idee powtórnego przyjścia Pańskiego. Począwszy bowiem od osiemnastej niedzieli po Zielonych Świętach pozwolił on rozwinąć się w duszach naszych całej skali nastrojów oczekiwaną „paruzji”, od gorącej tęsknoty za niebem aż do zbawiennej obawy przed sądem Bożym.

Niedzielę dzisiejszą przeżywać będziemy pod hasłem: „radosny powrót do domu Ojca”. Bowiem nie tylko w tytule dzisiejszego rozważania, ale również w całej jego treści — niczym „złota nić” — przewijać się będzie myśl, zawarta w słowach: „Wierzę... w ciała zmartwychwstanie”. Toteż dzisiejsza lekcja mszalna (Flp 3,17—4,3) przypomina nam, że ostateczną naszą Ojczyzną jest niebo, gdzie Chrystus przemieni nasze ciała oraz, że imiona nasze zapisane są w księdze żywota. Jednym zaś z owoców przyjścia Chrystusowego będzie uwolnienie nas od chorób i zmartwychwstanie ciał, przedstawione nam niby w obrazie, w ewangelicznym opowiadaniu o uzdrowieniu chorej na krwotok niewiasty i wskrzeszeniu córki Jaira (Mt 9, 18—26).

To właśnie wydarzenie — oraz wypływające z niego wnioski — będzie tematem dzisiejszego rozważania niedzielnego.

Po uzdrowieniu człowieka opętanego (miało to miejsce pod koniec drugiego roku publicznej działalności), opuścił Chrystus krainę Dziesięciogrodzia i przez Morze Galilejskie „przeprawił



Wskrzeszenie córki Jaira

się również płatni fletniści oraz lamentujące niewiasty, by — wschodnim zwyczajem — uczestniczyć w pogrzebie, który zazwyczaj odbywał się w tym samym dniu. Ujrzałszy ich, Chrystus powiedział: „Odejdźcie, bo nie umarła dziewczynka, lecz śpi” (Mt 9,24a). Dla niego bowiem śmierć jest tylko zjawiskiem przejściowym, podobnym do snu, z którego ma On władzę i siłę ją obudzić. Wszyscy jednak wiedzieli, że dziecko umarło naprawdę. Dlatego — jak zauważa autor pierwszej Ewangelii — „naśmiewali się z niego” (Mt 9,24b). Było to wyrazem ich niewiary w moc Proroka z Nazaretu. Z tego zapewne powodu nie mogli oni być świadkami cudu. Toteż niezwłocznie — najprawdopodobniej na polecenie Jezusa — „wygnano tłum” (Mt 9,25a) floczący się we wszystkich pomieszczeniach domu Jaira. A chociaż Mateusz nic nie mówi o ojcu zmarłej, należy przypuszczać, że jego przekonanie do słów Cudotwórcy było zupełnie inne.

Dopiero teraz skierował Syn Boży swe kroki do pomieszczenia, w którym złożone było ciało zmarłej dziewczynki. Jednak świadkami tego niecodziennego wydarzenia miało być jedynie szczupłe grono wybranych osób. Bowiem — jak zauważa inny Ewangelista — Chrystus „nie pozwolił nikomu wejść z sobą, tylko Piotrowi, Janowi i Jakubowi, i ojcu, i matce dziecka” (Łk 8,51). Wszedłszy zaś, „ujął ją za rękę, i wstała dziewczynka” (Mt 9,25b). W podobnych wypadkach Zbawiciel starał się zawsze unikać rozgłosu. Toteż i tym razem — jak wspominają Synoptycy — zabronił komukolwiek o tym wspominać. Na nic się to jednak nie zdało. Bo według relacji Mateusza, „rozeszła się wieść o tym po całej tamtej okolicy” (Mt 9,26).

„WIERZE... W CIAŁA ZMARTWYCHWSTANIE”

się w łodzi na drugą stronę” (Mk 5,21). Przybył, prawdopodobnie — jak to czynił podczas pobytu w Galilei — do Kafarnaum. Zaledwie jednak wyszedł na brzeg, otoczyła Go wielka rzesza żądna słowa Bożego oraz pędzona ciekawością oglądania nowych cudów Proroka z Nazaretu. Wykorzystał więc Zbawiciel i tę okazję do głoszenia Królestwa Bożego. A gdy Jezus „do nich mówił, oto pewien przełożony (synagogi) przyszedł (i) złożył mu pokłon” (Mt 9,18a). Człowiek ów — jak wspomina Ewangelista — był przełożonym synagogi w tym mieście. Był to bardzo zaszczytny urząd. On bowiem kierował nabożeństwem (modlitwami, czytaniem Pisma św. i nauczaniem ustnym) w bóżnicy oraz dbał o wyposażenie i ozdobę domu modlitwy. Znane są jednak wypadki, że urząd ten sprawowany był kolegią przez trzy lub siedmiuosobowe grupy. Według ewangelii Marka (rozdz. 5, 22) miał on na imię Jair, co w tłumaczeniu z języka hebrajskiego znaczy: „Bóg oświeca”. Nie był on uczniem Jezusa. Do Cudotwórcy z Nazaretu przyszedł on jednak wielkie nieszczęście — śmierć jedynej, dwunastoletniej córki (por. Łk 8,42). Zwierzchnik ten wschodnim zwyczajem — podobnie jak to wcześniej uczynił tędrowaty — padł do nóg Nauczyciela, posząc usilnie: „Córka moja dopiero skonała, lecz pójdz, połóż na nią swą rękę, a ożyje” (Mt 9,18b). Jakże niekorzystnie wypada porównanie pogańskiego setnika z żydowskim przełożonym synagogi. Tamten mówił: „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł pod dach mój, ale powiedz tylko słowo, a będzie uzdrowiony sługa mój” (Mt 8,8). Natomiast kilka dni później, przedstawiciel narodu żydowskiego domaga się obecności Jezusa w domu swoim i włożenia ręki na zmarłe dziecko. Mimo to — jak czytamy w ewangelii — natychmiast „wstał Jezus, i poszedł za nim wraz z uczniami swymi” (Mt 9,19), jak zawsze skory do czynienia dobra.

W tym miejscu Ewangelista przerywa jednak tok dotychczasowego opowiadania. Będzie bowiem miało miejsce wydarzenie, które opóźni nieco spełnienie prośby nieszczęśliwego ojca. Bo „oto niewiasta, która od dwunastu lat cierpiąca na krwotok, podeszła z tyłu i dotknęła się kraju szaty jego. Mówiła bowiem do siebie: Bylebym się tylko dotknęła szaty jego, będę uzdrowiona” (Mt 9,20—21). Ewangelie nie wspominają, kim była ta niewiasta. Dowiadujemy się jednak, że cierpiała na chorobę, która była bardzo dokuczliwa nie tylko ze względów fizycznych, ale również przykra z racji religijnych, gdyż sprawowała stan nieczystości legalnej (prawnej). Z tego też powodu wszelki kontakt z innymi ludźmi był jej zabroniony. Kiedy więc zawiadły wszelkie inne środki, postanowiła zwrócić się o pomoc do Chrystusa. Świadoma swego wyobcowania ze społeczności nie miała widocznie odwagi zwrócić się wprost ze swoją prośbą. Obawiała się — być może — by z przytoczonych wyżej powodów nie została odrzucona przez Mistrza. Równocześnie jednak była głęboko przekonana, iż samo dotknięcie szaty Cudotwórcy przywróci jej zdrowie. I wówczas „Jezus, obróciwszy się i ujrzawszy ją, rzekł: Ufaj, córko, wiara twoja uzdrowiła cię” (Mt 9,22a). Oczywiście wiara tej niewiasty nie mogła być fizyczną przyczyną uzdrowienia, była jednak koniecznym warunkiem, bez spełnienia którego Zbawiciel nigdy cudów nie czynił. Opowiadanie o tym wydarzeniu kończy Ewangelista słowami: „I od tej chwili niewiasta była uzdrowiona” (Mt 9,22b). Tradycja starochrześcijańska nadała jej imię Berenike lub Weronika. Zaś Euzebiusz z Cezarei („Historia

Podczas doczesnej wędrówki trapią nas liczne cierpienia i doświadczenia. Nie są one jednak bezcelowe. Bowiem za ich pośrednictwem oczyszcza Bóg swoje ziemskie dzieci, by potem zgromadzić je w swoim Królestwie. Zbliży się bowiem dzień, kiedy Chrystus obdarzy chwałą całego człowieka, wskrzeszając uniżone przez śmierć jego ciała, podobnie, jak wskrzesił córkę Jaira.

Tak zawsze nauczał Zbawiciel. Świadczą o tym między innymi następujące jego słowa: „Nadchodzi godzina, kiedy wszyscy w grobach usłyszą głos jego (Syna Bożego); i wyjdą ci, co dobrze czynili, by powstać do życia; a inni, którzy źle czynili, by powstać na sąd” (J 5,28—29). Zaś po cudownym rozmnożeniu chleba, powiedział: „To jest wola Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w niego, miał żywot wieczny, a Ja go wzbudzę w dniu ostatecznym” (J 6,40). Nieznużonym głosiłem prawdy o zmartwychwstaniu ciał był apostoł Paweł, który napisał: „Sam Pan... na głos archaniota i trąby Bożej zstąpi z nieba; wtedy najpierw powstaną ci, którzy umarli w Panu” (1 Tes 4,16). Gdzie indziej zaś podkreślał z naciskiem: „Oto tajemnicę wam objawiam... na odgłos trąby ostatecznej... umarli wzbudzeni zostaną” (1 Kor 15,51—52).

Wiara w zmartwychwstanie ciał była fundamentalną prawdą chrześcijaństwa przez wszystkie wieki istnienia Kościoła. Ona była otuchą w ciężkich chwilach oraz nadawała sens życiu ludzkiemu. Zatem i my wierzymy „w ciała zmartwychwstanie”.

KS. JAN KUCZEK

Pochyl głowę, mój synu...

.....Wołam Cię, obcy człowieku.
co kości odkopiesz białe;
kiedy wystygną już boje,
szkielet mój będzie miał w ręku
sztandar ojczyzny mojej”

Krzysztof Kamil Baczyński
(1921—1944)



Zwarty tłum ludzi wlewał się szeroką falą przez cmentarną bramę na Powązki. Rzeka ludzi rozplywała się powoli z głównej alei w boczne ścieżki. Szliśmy z synem wplątani w ten strumień ludzki właściwie bez konkretnego celu. Nikt z naszych bliskich tu nie spoczywa. Groby naszej rodziny rozsiane są po świecie, a miejsca spoczynku wielu z jej przedstawicieli nie są nam znane. Niosłam teraz pęk puszystych białych chryzantem, nie wiedząc nawet gdzie je tu pozostawić.

Powietrze było wilgotne i chłodne, a listopadowy dzień pochmurny i mglisty. Mimo gęstniejącego zmroku było tu prawie jasno od płonących na grobach świec i zniczy. Ostro rysowały się podświetlone gałęzie drzew, niektórych już nagich, lub jeszcze z czerwono-brunatnymi liśćmi, które oparły się jesiennym podmuchom wiatru. Mijałymi groby bogato zdobione marmurem, udekorowane wazonami chryzantem. Inne nagrobki przechylone i zmurszałe zapadały nieubłaganie w ludzką niepamięć. Ale i tu także czyjaś obca, życzliwa ręka ustawiała płonący znicz i gałązkę świeżych kwiatów.

Szliśmy milcząc, pograżeni w myślach, jakie zwykle ogarniają człowieka w obliczu tajemnicy śmierci. Jakież rozległe to miasto umarłych! Kryje prochy około dwóch milionów ludzi. Leżą tu sławni i znani, zasłużeni dla kraju i ci, którzy przeszli do wieczności cicho i bez rozgłosu. Leżą tu ci, o których nikt już nie pamięta i tacy, po których stracie ból jest jeszcze wciąż żywy. Zabierała ich śmierć niejednokrotnie. Jednym dane było umierać spokojnie, w otoczeniu bliskich, w pojednaniu z Bogiem i pokorną rezygnacją w sercu. Innym śmierć gasiła życie nagle i gwałtownie w grozie ludzkiego dramatu. Niejedna mogiła kryje dramat walki o życie, buntu przed śmiercią i strachu przed tym, co policzone będzie na szali sądu Bożego.

Dzień Święta Zmarłych jest dniem pamięci o bliskich, którzy tu leżą, ale jest także głęboką refleksją nad samym sobą. O czym myślał żywi ludzi stojący w milczeniu nad chwiejnym płomykiem świecy przy grobach tego miasta umarłych. Może czują lęk przed niewiadomą godziną własnej śmierci? Może rozważają we własnym sumieniu, jakie jest ich życie doczesne, czy umieli znaleźć jego właściwy sens? Może rozmawiają szeptem z kimś, kogo skrzywdzili, może tracąc wiarę lub odzyskując nadzieję, że odnaleźli w życiu takie wartości, które nie kończą się przywaleniem cmentarnej płyty.

O czym myśli na przykład ta drobniutka, siwa struszcza, pochylona nad mogiłą, którą właśnie mijamy. Ma taką spokojną twarz z cieniem łagodnego uśmiechu. Może schyłek jej życia jest już tylko cierpliwym i ufnym czekaniem na spotkanie z bliskimi. O kilkanaście

metrów dalej grupka osób zapala świecę na kamiennej płycie. Kobieta i mężczyzna w żałobie. Kobieta płacze przykładając chustkę do ust, by stłumić szloch. Kilkuletni chłopczyk siedząc na krawędzi płyty dmucha na złoty płomyk świecy. Śmieje się głośno rozbawiony migotaniem światła. Nic jeszcze nie wie o śmierci — nic jeszcze nie wie o życiu.

Szliśmy z synem dalej alejami cmentarza. Ciągłe niosłam zapomniane chryzantemy w marznących rękach. Mijałymi groby powstańców listopada i stycznia, powstańców sierpnia 1944 roku, sławnych pisarzy, aktorów, polityków, ludzi pochowanych na honorowych miejscach, o których pamięć przetrwa jeszcze długo. Mijałymi groby z pozieleniałymi płytami, na których czas zatarł napisy i które już nie mówią potomnym, kto w nich spoczywa i jakie miał zasługi. Czytelne napisy podają nazwiska obywateli Warszawy związanych nierozdzielnie z narodem, jego kulturą i historią — szczególnie wówczas, gdy samodzielny byt kraju został nam odebrany. To dzięki nim, dzięki ich czynom, dzięki ich życiu zachowała się ciągłość naszej kultury, utrwaliła i rozszerzała się treść życia narodowego.

Na niektórych pomnikach spod spękanej, grubego szkła o zmatowiałej fakturze — uśmiechają się z wyblakłych fotografii młode twarze i dawno zgasłe oczy.

Spokój wieczny tego wielkiego cmentarza bywał zmierzonym nieraz zakłócony. W czasie okupacji i powstania warszawskiego groby powązkowskie stawały się barykadą, chowano i konspirowano w nich broń i amunicję, a nawet bywały schronem i mieszkaniem. Czołgi niemieckie trałowały gąsienicami kwatery cmentarne, staczano tu bitwy, a lotnictwo niemieckie zrzucało bomby rozrywając groby i rozbijając pomniki. W katakumbach znajdowali schronienie ścigani przez gestapo Żydzi. Po wojnie uporządkowano cmentarz, odnowiono i orestaurowano zniszczone pomniki i płyty dzięki ofiarności społeczeństwa warszawskiego, które chce zachować pamięć swych przodków dla przyszłych pokoleń.

Ale — pamięć ludzka bywa czasem kapryśna i nietrwała. Gdy w roku 1826 zmarł znakomity poeta, autor „Marii” Antoni Malczewski, którego talent podziwiała dziewiętnastowieczna Warszawa, to w cztery lata po jego pogrzebie nie wiadomo było, gdzie został pochowany i grobu jego nie udało się odszukać. Pozostał tylko niepewny ślad ustnego przekazu, że zwłoki jego złożone zostały u progu katakumb starych, w samym ich końcu w okolicy pomnika Korwin-Szymanowskich. W tej więc mniej więcej okolicy, kiedy ktoś z innych poetów chcąc uczcić pamięć Malczewskiego, położył tylko płytę kamienną z krótkim napisem: „Autorowi Marii”.

Są i takie kamienie nagrobne, które zachowały trwale pamięć o człowieku, choć nie kładła je ręka nikogo bliskiego. Idąc wzdłuż katakumb znaleźliśmy taki oto napis: „Michałowi Kazimierzowi Książkowi z Kozielska Ogińskiemu, hetmanowi w Wielkim Księstwie Litewskim, który za ojczyznę walczył, wiele za nią ucierpiał, a zawsze jej wiernie służył; pamiętkę uszanowania i żalu i wdzięczności słudzy dla pana położyli. Żył lat 72, umarł 1800 r.”

Syn przypomniał mi, że Ogiński nie jest tu w ogóle pochowany. Zmarł bowiem w Stonimiu i tam prawdopodobnie złożone zostały jego prochy. Warto tu przypomnieć, że Ogiński słynął nie tylko z cnót rycerskich, ale osiadłszy w Stonimiu wybudował piękny pałac, teatr operowy, założył drukarnię, popierał rozwój rzemiosła i przemysłu, a ponadto sławy przysporzył mu „Kanał Ogińskiego” tworzący drogę wodną między Niemnem i Dnieprem.

Tak to na cmentarzu spleta się przeszłość z teraźniejszością i jest w tym ciągłość nieprzerwana dziejów przeszłych i czasów nowych. Śmierć kładzie tu tylko smugę cienia na tych, co historię tworzyli i co ją kontynuują w nieprzerwanym toku naszej wędrówki od narodzin aż do grobu. Któż odgadnie, jak długa jest ta droga... Poczulałam w sercu lęk i chłód. Wsunęłam zmarzniętą rękę pod ramię syna. Jak dobrze, że jest blisko, młody, silny, żywy. Jak dobrze, że w domu śpi maleńki Paweł, mój wnuc.

Doszliśmy do kwatery warszawskich powstańców. Mgła i dymy z tysiąca zniczy snuły się wśród równych rzędów brzoźowych krzyży. Leżą tu dorośli znani z nazwiska lub tylko pseudonimu i ci nieznanymi, we wspólnych grobach. Dorośli i dzieci. Nie wszyscy tu są. Wielu pozostało pogrzebanych jak ci, o których pisał Jarosław Iwaszkiewicz w swym wierszu:

„Moja siostra w ruinach śpi pośrodku miasta.
Dwóch poetów jak ręce wzniosło się w powietrze.
I w tym miejscu, gdzie ciebie zabito, wyrasta
Trochę trawy i listek drga w wiosennym wietrze”.

Syn pochylał się nad jedną z mogiłek i szepnął: „mamo, ta łączniczka miała zaledwie czternaście lat”.

— Zaledwie czternaście lat — powiedziałam w zamyśleniu — a przecież byli jeszcze młodszy. Byli chłopcy dziewięcioletni, których ręce nie mogły udźwignąć karabinu. Rzucali butelki z benzyną, nosili pocztę powstańczą, dźwigali amunicję. Teraz tu leżą, nasze dzieci rozdarte seriami karabinów maszynowych w najstraszliwszym doświadczeniu naszego narodu. Pochyl głowę, mój synu, nad tym najtragiczniejszym cmentarzem i w najgłębszej zadumie proś żarliwie, aby twoje dziecko знаło tylko czyste niebo.—

Syn wyjął z moich rąk chryzantemy i w milczeniu położył je na grobie powstańca. Ciemne niebo nad Powązkami różowiło się luną światła. Warszawskie misterium listopada podało pamięć i modlitwa za zmarłych, ale i wielka lekcja historii, skłaniająca do głębokiej refleksji.

JADWIGA KOPROWSKA



Towarzystwo Niewiast A.N.S. z duszpasterzem po Sumie

CO NOWEGO W PARAFII BYDGOSKIEJ

W dniu 21 lipca 1978 roku bp Tadeusz R. Majewski udzielił święceń kapłańskich absolwentowi Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej w Warszawie, magistrowi Zygmuntovi Okoniowi i skierował go do pracy w parafii polskokatolickiej w Bydgoszczy pod wezwaniem Zmarłychwstania Pańskiego przy ul. Sniadeckich 36.

Początkowo patrzyliśmy na naszego nowego duszpasterza z nieukrywaną ciekawością, jednocześnie stawiając pytania, od czego zacznie i jakie stawia sobie cele? W niedługim czasie swojej posługi kapłańskiej ks. Zygmunt Okoń zwołał zebranie parafialne, na którym powołano nową Radę Parafialną i określono w sposób zwięzły i rzeczowy program odnowy religijnej i prac remontowo-budowlanych. Z powyższym programem ks. Z. Okoń udał się niezwłocznie do Warszawy, gdzie w Kurii Biskupiej diecezji warszawskiej przedstawił postulat swojej parafii. Na odpowiedź Kurii nie trzeba było długo czekać. Decyzją bpa Tadeusza R. Majewskiego przyznano niezbędną pomoc finansową parafii w Bydgoszczy. W oparciu o nią z początkiem 1979 roku rozpoczęto prace remontowe we wnętrzu świątyni, zgodnie z wymogami odnowionej liturgii.

Oto krótki wywiad przeprowadzony z administratorem parafii polskokatolickiej w Bydgoszczy ks. Zygmuntem Okoniem.

Pytanie: Jakie plany i założenia z 1978 r. zostały przez księdza zrealizowane?

Odp.: No cóż, nie wszystko na czas udało się nam zrealizować. Nie ukrywam, że parafia polskokatolicka w Bydgoszczy to nie parafia z Długiego Kąta, Bolesławia czy Kołłowa. Proszę pana — to jest Pomorze. Przypomina mi się tu „a propos” Pomorza, rozmowa, którą odbyłem w niedługim czasie po przybyciu z Warszawy do Bydgoszczy, z Prezydentem miasta, mgr. Wincentym Domiszem. Na moje pytanie, dlaczego stosunki międzyludzkie w Bydgoszczy są tak zimne i czasami wręcz szokujące. Prezydent odpowiedział: „Proszę księdza, miasto Bydgoszcz w skali kraju zajmuje trzecie miejsce po Nowej Hucie i Tychach, jeśli chodzi o prężność i dynamikę rozwoju, a co za tym idzie do naszego grodu przybywa różnoraki procent ludzi dobrych i ludzi nie zawsze stojących na wyżynach moralności i kultury. Wiele czasu upłynie zanim stosunki międzyludzkie, w ich najlepszym wydaniu, staną się codziennością”. Opinia prezydenta o stosunkach międzyludzkich w mieście, w moim skromnym przekonaniu, ma swoje pokrycie w rzeczywistości, a co za tym idzie i w naszej społeczności parafialnej, której z woli Biskupa przewodzę. Moim marzeniem było, jest i pozostanie, rozbuścić gorliwość serc i umysłów parafian. I tu idzie mi najoporniej — lecz stara rzymska maksyma mówi, — „per aspera ad astra” (przez trudy do gwiazd). Gdy w pracy duszpasterskiej uda nam się pokonać ospałość i gnuśność, to wówczas wszystkie

inne problemy natury materialnej, których dotychczas nie udało się nam przezwyciężyć, nie oprą się rozpalonym sercom i umysłom gorliwych już parafian.

Pytanie: Jak ksiądz widzi i ocenia współżycie religijne wszystkich wyznań chrześcijańskich w Bydgoszczy?

Odp.: Wybacz pan, ale i w tym przypadku będę musiał się powtórzyć. Proszę pana, Bydgoszcz to nie Warszawa, gdzie w czasie trwania Tygodnia Modlitw o Jedność Chrześcijan biskupi poszczególnych wyznań chrześcijańskich rezydujących w Warszawie, łącznie z biskupami rzymskokatolickimi, wygłaszają w poszczególnych świątyniach Słowo Boże, manifestując tym samym nie-

ławki, chór. Odnowiono i zakonserwowano również żyrandole, ponadto zakupiono nowe, skromne, lecz bardzo ładne dywany, komplet gotyckich ornatów, kap i kieliarów oraz świeczników i pozostałych koniecznych detali sakralnych.

Pytanie: A co w tym roku?

Odp.: Zakres prac remontowych w bieżącym roku obejmuje kościół na zewnątrz. Aktualnie kończymy tynkowanie kościoła i pokrycie dachu blachą ocynkowaną. Nie obyło się bez koniecznych wyburzeń przybudówek. Zagrzybione i zawilgocone nie mogły być w dalszym ciągu użytkowane.

Pytanie: Perspektywy na przyszłość?

Odp.: Z początkiem 1981 roku rozpoczęliśmy w pieniądze ze składek parafialnych, budowę nowej plebanii. Zdaję sobie sprawę, że przedsięwzięcie to przerasta siły naszej parafii, ale proszę pana — dla chcącego nie ma nic trudnego — jak powiada staropolskie przysłowie, a inne z kolei mówi — co masz zjeść dziś, zjedz jutro, a co masz zrobić jutro, zrób dziś. I tym optymistycznym akcentem chciałbym odpowiedzieć na pańskie pytanie.

Pytanie: Czy spodziewa się ksiądz wizyty lub wizytacji z Kurii Biskupiej?

Odp.: Tak, oczywiście. W przyszłości gościliśmy Komisję Rewizyjną. Wszystkie otrzymane fundusze zostały zainwestowane zgodnie ze swoim przeznaczeniem.

Pod koniec października spodziewamy się wizytacji zwierzchnika Kościoła Polskokatolickiego, bpa Tadeusza Majewskiego.

Wywiad przeprowadził:
Sławomir Wittkowiec

Oprac.:
Andrzej Skwarczyński

Foto:
Stanisław Suchanek



Ks. Zygmunt Okoń celebrujący Msze Św.

ZADUMA



Najpewniejszym dla każdego człowieka miejscem na ziemi jest cmentarz. Jest miejscem ostatnim i najtrwalszym z wszystkich, których stopa ludzka dotyka.

Na cmentarzu kończy się wędrówka człowieka po ziemi. Tam każdy znajdzie swe mieszkanie — drogą przymusu, bo nikt nie przeprowadza się na cmentarz z dobrej woli. Cmentarne pole staje się więc przymusowym przystankiem dla wszystkich podróżujących przez życie.

Każdy grób staje się ciemną poczekalnią, w której mieszka śmiertelna cisza.

Gospodarzem cmentarza jest ŚMIERC, która sprawuje tam tajemnicze rządy. Nikt z ludzkich istnień nie ma wglądu do jej rachunków, kalendarzy i miar.

Dzień Zaduszny jest dla cmentarza świętem podwójnego niepokoju, niepokoju wydobywającego się z grobów świata i niepokoju, który ludzie żywi wnoszą między mogiły.

Wszystkie cmentarze na świecie nieustannie powiększają się. Dzieje się to tak szybko, że grabarze muszą otwierać dawne mogiły i na miejsce spróchniałych kości ustawiać nowe trumny. Nie tylko cmentarze powiększają się, ale także wzrasta cmentarny niepokój.

Ten niepokój nazywa się OCZEKIWIANIEM.

Czekają groby i kości, czekają cmentarze w ciszy wielkiej na alarm archanielski.

„Roześle swoich aniołów, którzy potężnym głosem trąb zwołają jego wybranych z czterech stron, z których wieją wiatry, z jednego krańca nieba aż po drugi” (Mt 24,31).

Był człowiek, który w widzeniu proroczym oglądał żywe cmentarze:

„I widziałem umarłych, wielkich i małych, stojących przed stolicą ... I wydało morze umarłych, którzy w nim byli, i śmierć i piekło oddały umarłych swoich, którzy w nich byli. I osądzono każdego według uczynków jego.”

A człowiekiem tym był św. Jan apostoł, który patrzył na męczenną śmierć wszystkich swoich współbraci.

Nie zachwiała się jednak jego wiara. Urosła w pewność rocznego widzenia.

To właśnie oczy Janowe widziały cmentarz na Górze Oliwnej, na którym otwarto się grób, po raz pierwszy w dziejach świata, grób pełen światła i życia, Chwalebny Grób Jezusa Chrystusa. Poprzez zwycięstwo Grobu Zbawiciela ogiadał wszystkie groby świata i widział je otwarte.

Oczekiwanie — oto niepokój wszystkich cmentarzy na globe ziemskim.

Dzień Zaduszny jednak wnosi także niepokój żywych między groby zmarłych.

Wystarczy posłuchać przyciszonych rozmów cmentarnych prowadzonych w migotliwym świetle płomyków zniczów.

„Jacy oni szczęśliwi!” — „Dobrze im tu” — „Nie musza się już o nic martwić!” — „Bogu dzięki że mu zaoszczędzono tylu cierpień”.

Czym są te słowa: ukojeniem własnego smutku czy tęsknotą za wiecznym spoczynkiem, wyrazem zazdrości czy pewnością siebie, zniechęceniem do życia czy zapowiedzią zwycięskiej walki?

Zywi chceliby z grobów zabrać promyk światła — co tak dziwnie przemawia do nich barwą lampki czy łagodną poświatą całego cmentarza. Ludziom potrzeba światła. Chodzą w ciemnościach, po omacku, potykają się i ranią boleśnie, nie widzą siebie.

Gdziekolwiek rozniecą lampkę nadziei, wichry czasów gaszą ją raptownie.

I wydaje się im, że zblądzili, bo na bezdrożu stanęli bez przewodnika.

Milkną słowa żywych na ciemnych cmentarzach. Cisza się rozrasta: cisza umarłych i cisza żywych.

Umarli czekają na alarm archanielski.

Zywi czekają na światło, aby droga się rozjaśniła;

i na ciszę, aby usłyszeli słowa prawdy.

„Niech świeci światłość wasza przed ludźmi, aby widzieli uczynki wasze dobre!” — woła Chrystus wśród ciemności, wskazując nam drogę.

Światłością jest nasze życie, zapalone ręką i wołą Boga.

Trzeba wziąć w moc własną, w swoje życie i wszystkie swoje wysiłki, aby zwyciężyć strach i lęk.

Trzeba wrócić z cmentarza z głębokim przekonaniem, że jesteśmy tylko siewcami.

BOGDAN NOWAK

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (501)

w opracowaniu hp. M. Rodego

K

Ta mistyczna społeczność chrześcijan, ciągle i szybko się od samego początku, konkretnie od → Zesłania Ducha św., wskutek głoszenia Słowa Bożego przez powołanych przez Jezusa Chrystusa → apostołów i uczniów, oraz chrzczenia i wypełniania przez chrześcijan treści nauk, poleceń i ustaleń → Jezusa Chrystusa, pomnażająca i rozprzestrzeniająca się — coraz poczęła się instytucjonalizować i to hierarchicznie. I tak powstał wkrótce również Kościół pod względem organizacyjnym na wzór instytucji ziemskich jako instytucja religijna, która z czasem wytworzyła swój własny ustroj, prawo, ceremonial, teologię, filozofię itd., łącznie z → synodami, → soborami, → kapłanami, → biskupami, → patriarchami, → papieżem. Rozwój i podział chrześcijaństwa i Kościoła chrześcijańskiego rozpoczął się chyba jednocześnie z edyktem mediolańskim (313 r.), chociaż formalnie jeden wielki Kościół podzielił się, czy został podzielony na Zachodni i Wschodni dopiero w 1054 roku (→ Focjusz: → Cerulariusz). W 1517 roku → Marcin Luter, a potem → Jan Kalwin i inni reformatorzy utworzyli Kościoły protestanckie, ewangelickie. W 1535 r. król angielski Henryk VIII na mocy uchwały parlamentu angielskiego oderwał Kościół katolicki angielski od Kościoła rzymskokatolickiego, papieskiego, ustanawiając własny Kościół Narodowy z każdorazowym królem angielskim jako jego głową, czyli najwyższym zwierzchnikiem. Tuż po soborze watykańskim I (1869/70) powstał → Kościół Starokatolicki, albo raczej trzeba powiedzieć Kościoły Starokatolickie, a w 1897 r. → ks. Franciszek Hodur (ur. 1866, zm. 1953) zostawszy proboszczem nowej polskiej parafii katolickiej niezależnej w Scranton (USA) utworzył zrazu pierwociny, a później otrzymawszy dnia 29 września 1907 roku sakrę biskupią w katedrze św. Gertrudy w Utrechcie od biskupów starokatolickich → Unii Utrechckiej biskup Franciszek Hodur stał się organizatorem teologicznie formalnie, już faktycznie od kilku lat istniejącego i rozwija-

jącego się, → Polskiego Narodowego Katolickiego Kościoła w Ameryce potem w Kanadzie, a następnie od 1921 roku i w Polsce (→ Kościół Polskokatolicki). Wymienione Kościoły i wiele innych jeszcze uważają się za Kościoły prawdziwie chrześcijańskie, chociaż istnieją między nimi różnice ustrojowe, doktrynalne i liturgiczne (→ Kościoły poszczególne), w rzeczywistości jednak wszystkie są jednym Kościołem Jezusa Chrystusa, ale są nim o tyle, o ile uznają, iż cała społeczność prawdziwie ochrzczonych w imię → Trójcy św. i wierzących Chrystusa, stanowi Jego Mistyczne Ciało, którego On sam jest Jedyną Głową. Faktyczny, już wieki trwający, organizacyjny i administracyjny, podział Kościoła Jezusa Chrystusa jest podziałem, dokonany przez ludzi i kiedyś podział ten przeminie. Współczesny ruch ekumeniczny zmierza do współpracy i zbratania poszczególnych Kościołów. A kiedyś zgodnie z Pismem św., wierzy się, iż „będzie jedna owczarnia i jeden pasterz” (J. X, 16). Oczywiście obok tych bardzo ogólnie ujętych elementów pojęcia Kościoła w ogóle, jest wiele cech, które chce się uważać za znaki, czy dowody prawdziwości, jakby większej prawdziwości tego, czy innego Kościoła. O tych cechach i przymiotach, jako też o ustroju i głównych prawdach jest częściowo i „małoencyklopedycznie” mowa przy opisywaniu poszczególnych współcześnie największych Kościołów chrześcijańskich. Są nimi następujące Kościoły: → Kościół Zachodni (dawniej zwany też Łacińskim) albo Rzymskokatolickim, → Kościół Wschodni (dawniej zwany Greckim) → Kościoły Prawosławne. → Kościół Ewangelicko-Augsburski, → Kościół Ewangelicko-Reformowany. → Kościół Anglikański. → Kościół Baptystów, → Kościół Metodystów, → Kościół Adwentystów Dnia Siódmego, → Kościoły Starokatolickie m.in.: w Holandii, Niemczech, Szwajcarii, Austrii, w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. (→ Polski Narodowy Katolicki Kościół w Ameryce i Kanadzie) oraz w Polsce



— taka matka”. „Niedaleko pada jabłko od jabłoni...” i wiele innych. Czy takie i tym podobne przysłowia zawsze dowodzą mądrości? Można w to wątpić lub mieć zgola całkiem inne zdanie.

Dla nas, dla rodziny polskiej, głęboko wierzącej i czującej, rodzina zawsze była tą komórką społeczną, która decydowała o przyszłych losach pokoleń. Więzy krwi, więzy rodzinne, miłość do rodziców, rodzeństwa, w ogóle do ojcowizny, tradycja, przywiązanie do wiary i mowy ojców, patriotyzm, wychowawcze oddziaływanie starszych na dzieci i młodzież przez ciągle dawanie osobistego przykładu (jak mówimy — tak postępujemy) powodowały, że chociaż traciliśmy wolność i niepodległość nawet na długie lata, nie ulegliśmy germanizacyjnemu czy rusyfikacyjnemu zakusom wynarodowienia, bo — jak mówi mędrzec — „upaść może nawet naród wielki — zginąć, tylko niekzemny”.

Obecnie coraz częściej w naszych rodzinach zadajemy sobie wzajemnie pytania: Jaka będzie polska rodzina za lat 5, 10, 20? Jaka będzie Polska? Pytania takie stawiają sobie tysiące, setki tysięcy rodzin i każda z nich zdaje sobie sprawę, że nie organizacje społeczne, kolektywy, środki masowej propagandy, ale przede wszystkim rodzina potrafi wychować pożytecznego człowieka dla społeczeństwa. Oglądany w dniu 16 września br. film telewizyjny pt. „Spokój” otworzył oczy niejednej rodzinie na to, co z człowieka zrobić może nałóg pijaństwa, lenistwa, łamania najprostszych norm postępowania, rozwyrzenie, rozpusta, brak odpowiedzialności za swoje czyny.

Osobisty przykład ojca i matki jest stokroć więcej wart niż najlepsze książki, wykłady, pouczenia, filozofowanie, ciągle napominania, zakazy i rozkazy. Dzieci i młodzież, patrząc stale na rodziców, uczy się podświadomie określonych stylów życia, a wzorce moralne rodziców utrwalają w nas wiarę, że tak, a nie inaczej, można i trzeba postępować. Pozostawiają w psychice dzieci i młodzieży dziedzictwo wiedzy, doświadczenie i przekonania, ogromnie wzbogacając osobowość i psychikę.

Dziś łatwo dostrzec, że więzy rodzinne ulegają rozluźnieniu. Jest to zjawisko w życiu społecznym niepożądane, niekorzystne, a dla

człowieka młodego, dla jego przyszłości, wręcz szkodliwe. Nie nawołuję nikogo, nie radzę, aby rodzice wychowywali córeczkę „pod fartuszkim”, a synka trzymającego się spodni tatusia, bo nie o to idzie. Idzie bowiem o to, że zdrowa moralnie rodzina to zdrowe społeczeństwo! Nie głoszę nowych haseł, nie odkrywam Ameryki — to wszystko już od kilku tysięcy lat głosili mędrzy greccy i nie tylko głosili! Zbyt szybkie „usamodzielnianie” się młodych powoduje, że wchodzą w życie przedwcześnie rozwinięci fizjologicznie i — co ważne — z pewnego rodzaju niedorozwojem psychicznym, a więc duchowym, a zwłaszcza z elementarnymi brakami wychowania religijnego! Nie wolno nikomu uspokajać się „twierdzeniami”, że brak czasu, ciągły pośpiech, gonitwa, tempo życia, od uczenia i wychowywania jest przecież szkoła, organizacje młodzieżowe. Tak, to prawda, że szkoła uczy, ale uczy też ulica, złe otoczenie, złe przykłady oraz „znieczulica”. Trudno jest wychowywać tylko w szkole, trudno odpowiadać za wychowanie jedynie wychowawcom!

ANTONI KACZMAREK

Zanik moralności

Ostatnio dużo się mówi, słyszy i pisze o zaniku moralności. Przyjrzyjmy się temu antyspołecznemu zjawisku. Najczęstsza to obojętność. Jakże często słyszymy wypowiedzi w rodzaju: co to ciebie obchodzi, pilnuj swego nosa, nie wtwarzaj się w nie swoje sprawy. A więc wpaja się dzieciom i młodzieży pewnego rodzaju znieczulicę na ludzkie przykrości, krzywdy.

Proces wychowania — wszyscy dobrze o tym wiemy — zaczyna się już od chwili urodzin dziecka. Nawyki własne, tzw. „nałogi”, w sensie dodatnim, przekazywane są już niejako „z mlekiem matki i właśnie rodzina w decydującej mierze wpływa na późniejszą postawę. Można tu przytoczyć szereg porzekadeł, które ponoć są mądrością narodów, np. „Czego Jaś się za młodu nie nauczył”, „Czym skorupka za młodu nasiąknie...”, „Jaka matka

Chwila poezji

PO MĘKACH ŻYCIA...

Na mękach życia — pod długim pogrzebnie
Serce tu leży — pokój sercu w grobie!
Umarle wszyskim — tylko nie dla ciebie,
Ponure wszędzie — tylko nie przy tobie,
W ten grób wstąpiło, by nie żyć z innymi,
A z tobą jednak zostać się na ziemi
Dziś w tym kamieniu, jak duch się ukrywa
I tobie tylko pieśń miłości śpiewa,
A światu wiecznym stało się milczeniem —
Słotaż też je odtąd znać będzie kamieniem
Ty jedna tylko wiesz, że ona żyje,
Bo dniami i nocą czujesz, jak tu bije
Dla ciebie tylko — dla ciebie — dla ciebie!
Serce tu leży — pokój sercu w niebie!

Zygmunt Krasiński (1812—1859)

MAŁA ENCYKLOPEDIA TEOLOGICZNA (502)

(→ Kościół Polskokatolicki).

Kościółem nazywa się też budynek przeznaczony do sprawowania kultu, nazywany też zależnie od wyznania: kościołem albo świątynią, cerkwią, zborom, meczetem, bóżnicą. Kościoły te jako budynki miejsca kultu były i są w zasadzie budowane według panujących w architekturze w ogóle, również sakralnej, stylów. Do najbardziej znanych w przeszłości należą style: romański, gotycki, renesansowy, barokowy oraz style nowe, współczesne. Nadto wyróżnia się wśród świątyni katolickich: bazyliki, katedry, prokatedry, sobory, kościoły kolegiackie, farne itd.

Kościół Adwentystów Dnia Siódmego w PRL — (→ Adwentyści) — działa w Polsce na podstawie decyzji, wydanej przez Dyrektora Urzędu do Spraw Wyznań, z dnia 7.VI. 1966 r., zatwierdzającej zarazem Statut tegoż Kościoła. Przytaczamy tu z tegoż Statutu kilka najbardziej ten Kościół charakteryzujących paragrafów. Paragr. 2: „Kościół Adwentystów DS zrzesza chrześcijan wyznających biblijne zasady wiary, przedstawione w załączniku do niniejszego Statutu, w szczególności wierzących w powtórne przyjście Jezusa Chrystusa i zachowujących przykazania Boże zgodnie z Pismem św.” Paragr. 3: „Kościół Adwentystów DS działa na obszarze Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; siedzibą centralnych władz Kościoła jest m.st. Warszawa”. Paragr. 4: „Kościół Adwentystów DS głosi Ewangelię Jezusa Chrystusa, naucza przestrzegania dziesięciorga przykazań Bożych i prowadzi działalność charytatywną; ponadto wychowuje człowieka wierzącego praktykującego i społecznie pożytecznego, popaguje zdrowy tryb życia, kształtuje wysoką postawę moralną i przywiązanie do kraju oraz rozwija ducha pokoju, braterstwa i chrześcijańskiej miłości wśród ludzi, ras i narodów”. Paragr. 6: „Członkami Kościoła Adwentystów DS są wierni poszczególnych zborów, wyznający i praktykujący zasady wiary, określone w paragr. 2 nin. Statutu”. Paragr. 15:

„Kościół Adwentystów DS posiada ustrój demokratyczny, oparty na autorytecie ogółu wyznawców, duchownych i świeckich (jedność ustrojowa), działających przez swych przedstawicieli (system przedstawicielstwa). Władze Kościoła są kolektywne i pochodzą z wyboru”. Paragr. 20: „1. Zarząd i Radę Zboru wybierają wyznawcy na Walnym Zebraniu Członków Zboru na okres jednego roku. Zebranie to zwołuje starszy Zboru, zastępca starszego Zboru lub sekretarz Zboru, podając do wiadomości członków Zboru na 7 dni przed terminem zebrania czas, miejsce i porządek dzienny Walnego Zebrania członków Zboru”. „3. Zarząd Centralny i Radę Kościoła wybierają delegaci zjednoczeń na Walnym Zebraniu Delegatów Kościoła Adwentystów DS na okres czterech lat.”

Aktualnym przewodniczącym Zarządu Centralnego Kościoła Adwentystów DS jest → dr h.c. S. Dąbrowski, a sekretarzem → doc. dr hab. Z. Łyko. Kościół Adwentystów DS liczy ponad 7 000 wiernych oraz ponad 70 duchownych (kaznodziejów), zrzeszonych w trzech zjednoczeniach (zjednoczenie — odpowiednik → diecezji). Zob. → Kościół).

Kościół Anglikański — (→ anglikanizm) — należy współcześnie do grona największych Kościołów chrześcijańskich w świecie i jest od już ponad 50 lat w interkomunii z Kościołami Starokatolickimi, zrzeszonymi w Unii Utrechckiej, również z → Kościołem Polskokatolickim. Najwyższym zwierzchnikiem Kościoła Anglikańskiego obecnie jest panująca królowa Anglii, Elżbieta II, a prymasem tego Kościoła z kolei już 102 arcybiskup Canterbury, → Robert Runcie, którego uroczysta intronizacja odbyła się dnia 25 marca 1980 r. w katedrze w Canterbury. Kościół liczy łącznie ponad 30 milionów wyznawców (→ Kościół).

Kościół Chrześcijańskich Baptystów — → Baptyści i → Polski Kościół Chrześcijańskich Baptystów.



FRYDERYK HÖLDERLIN I RZECZY PRZYSZŁE

W roku 1970 minęła dwusetna rocznica urodzin Fryderyka Hölderlina. Rocznicą ta nie była okazją do odświeżania zapomnianej sławy, gdyż należał on do tych poetów, którzy szczególnie głęboko zapadli w serce narodu. Wielbiony jest nie jak ktoś zmarły przed przeszło stu laty, ale jak ktoś żywo uczestniczący w naszym świecie, zawsze możemy w jego utworach znaleźć coś, co uczyni go poetą współczesnym.

Fryderyk Hölderlin, niemiecki poeta okresu klasycyzmu, żył w latach 1770-1843. Uważany jest za mistrza ody, elegii i hymnu, wyrażających głęboki patriotyzm i humanitaryzm, tęsknotę za idealnym porządkiem społecznym, którego wzorem był dla poety świat antyczny (Hymn an die Freiheit 1791) „Hymn o wolności”, (Hymn an die Menschheit 1792) „Hymn o człowieczeństwie” i inne. Główny utwór Hölderlina, powieść liryczna „Hyperion oder Eremit in Griechenland” (1797-1799), pisana w formie listów tytułowego bohatera do niemieckiego przyjaciela, przeniknięta jest patriotyzmem i ubolewaniem nad ówczesną sytuacją Niemiec.

W chwili, gdy Hölderlin zapadł na chorobę umysłową, dzieło jego życia nie zostało jeszcze zakończone. Niewiele rzeczy ukazało się w formie książkowej, wiele utworów, rozproszonych ukazało się w zbiorach.

Niepowtarzalność wielkiego poety, siła i piękno jego języka były przez współczesnych nie zauważane i niezrozumiane. Przy tym to co umykało rozumieniu współczesnych, dawało się łatwo złożyć na karb obłędu. Dopiero, mniej więcej, sto lat po śmierci zaliczono Hölderlina do największych z wielkich. Wielkie wydania jego dzieł zaczęły się ukazywać po 1943 roku.

Wobec twórczości samowystarczalności Goethego albo wybuchowego entuzjazmu

Schillera dzieło i istota Hölderlina odznacza się niepowtarzalną bezpośredniością. Fakt, że miłość ojczyzny stała się jego ostatnim i najwyższym doświadczeniem poetyckim, zapewnił mu szczególne miejsce w świadomości pokoleń.

Dla twórczości Hölderlina charakterystyczne jest, że poetyckim wyrazem świadomości dziejów jest dla niego noc. Noc zawiera w sobie głęboką dwuznaczność. Nadejście nocy kładzie kres krzątaninie dnia. Mrok odbiera rzeczom, które nas otaczają, ich ustalony porządek. Ale przesłaniając obecność świata, noc zarazem otwiera człowieka na to, co pozostaje ukryte w świetle i zgiełku dnia: „dalekie dźwięki strun, bicie dzwonów, szmer źródła, zapach kwiatów w ogrodzie — i wszystkim tym porusza pełną nadziei duszę człowieka”. Pierwsze strofki „Chleba i wina” opisują noc, która niesie objawienie:

*Miasto wokół spoczywa; cichnie
w światłach ulica,
I przetaczają się z szumem wody
w blasku pochodni.
Syci radości dziennej na spoczynek
udają się ludzie.
Ale dźwięk strun rozbrzmiewa
z dalekich ogrodów; może
Gra tam para miłośna albo samotny
mężczyzna
Wspomina dalekich przyjaciół i czas
miłości; a źródła
Wiecznie płynące i świeże szemrzą na
wonnym podłożu.
Cicho w powietrzu wieczornym drżą
rozbrzmiałe dzwony
I strażnik, który czas liczy, wywołuje
godzinę.
A teraz powiew napływa i gaju
wierzchołki porusza,
Spojrzyj! Cię naszej ziemskiej
planety, kiężyc,
Zbliża się już potajemnie; noc,
marzycielka, nadchodzi
Pełna gwiazd gorejących i mało
dająca o nas,
Zdumiewająca noc, cudzoziemka
wśród ludzi,
Rozbłyska tam nad górami smutno i
w blasku wspaniałym.*

Siłą lirycznego nastroju wiersz ten wzbudził już podziw współczesnych i był w roku 1807 publikowany w „Almanachu Muz”. Wiersz ten daleko odbiega od rozmarzonych zachwyty nad nocą pograżającą wszystko w mistycznej tajemnicy, jakie spotykamy u Herdera i romantyków. Hold dla nocy w tym poemacie zwraca się ku „nocy dziejów”, mrocznemu przeznaczeniu Zachodu, któremu dane jest żyć bez Boga, z daleka od przepojonego boską obecnością świata starożytnego. W świadomości dziejowej Hölderlina przeciwstawność dnia i nocy ma sens negatywny — noc obrazuje życie z daleka od Boga, jest zaprzeczeniem życia Greków jako dnia opromienionego boską obecnością. W tym obrazie i jego przeciwieństwie Hölderlin zamyka całkiem jednoznaczne doświadczenie. Bezbożność nowożytności oznacza „nieczułość na wspólnotę kultu i wspólnotę własności”, zamknięcie się w wąskiej dziedzinie życia, a zwłaszcza „ograniczone domatorstwo”, które Hölderlin rozpoznaje w niemieckim charakterze narodowym, ducha służalczej troski, która nieustannie szuka własnej korzyści i zasklepia ludzi w nieufnej samotności. Poeta wie natomiast, że „sfera wyższa od sfery człowieka — ta sfera jest Bogiem. Niebianie tworzą wyższą od ludzkiej wspólnotę, są rozdającymi ducha siłami, które ludzką jednostkę obdarzają duszą. Dziś, „gdy nad wszystkim góruje służalcza troska”, tylko miłość jest znakiem piękniejszych czasów. Tylko w duszy miłującej żyje naprawdę wspólnota życiowa. Tylko dla nich świat jest wciąż jeszcze pełen Boga. Lecz tam, „gdzie rządzi i sta-

wia naglące wymagania troska, gdzie dzień, w dzień zużył, to jest stałe przemyślenie o tym, co dla nas korzystne i pożyteczne, okrada naszą duszę — tam życie stało się nie ludzkie, zabrakło boskiego pierwiastka”. Nadchodzi noc bezbożności:

*Lecz biada! Wędruje wśród nocy, mi-
szka niczym w Orkusie
wyzbyty boskości nasz rodzaj. Przykuci
do własnej krzątaniny i każdy tylko
wsluchany w stukot warsztatu i wiele
pracują barbarzyńcy o potężnych ra-
mionach, niestrudzone, lecz na wieki
bezpłodne, jak Furie, są wysiłki nie-
szczęśliwych.*

Sens Bożego dnia „wśród kwitnących dzieci Hellady” to życie, zrozumiałe dzięki obecności boskich sił, które czczą bogów. tworzy własny porządek — podziwiany i wielbiony przez nas we wspaniałych świątyniach, miastach, uroczystościach i teatrach klasycznej Grecji. „Obecność niebian” w nieskończenie drobnych szczegółach życia — której my z naszymi „żelaznymi pojęciami” nadaliliśmy „sens oświecony”, to znaczy moralny — to wszechobecne religijne rozumienie życia u Greków jest w gruncie rzeczy „wyższym oświeceniem”. Polega ono nie na abstrakcyjnej ogólnej moralności rozumu, ale na konkretnej „ogólności” wspólnie przeżywanego świata, wspólnego ducha.

Noc to nie tylko czas oddalenia Boga, czas nędzy, w którym życie pozabawione jest trwałej podstawy. To zarazem czas pamięci o dniu i oczekiwania na jego powrót. „Gdy przeminęło i dzień zgasł”, boskość i jej obraz stały się wprawdzie niewidoczne:

*Tylko jak z nagrobnych zniczy sączy
się w górę złoty dym, legenda i nam
wątpiącym omracza teraz głowy.*

„Ale czas rozłąki ludzi z Bogiem zachowuje mimo wszystko pamięć o ich jasności. Chleb i wino, rękojmia chrześcijańskiej obietnicy, są dla poety darem Boga, dla którego żyje jeszcze cicha wdzięczność za te dary. Chleb i wino mają w sobie błogosławieństwo harmonii między ziemią a „niebem”. Istota wynikająca z tego faktu radości polega na tym, że jest ona „duchem”. Znaczący to przede wszystkim, że jest wspólna i tworzy wspólnotę. Nie jest tak, że innym udziela się czegoś, co już przedtem było radością — radość powstaje dopiero w akcie dzielenia się z innymi:

*...nikt nie znosi życia w samotności,
takie dobro cieszy, gdy jest podzielone
i dopiero wymiana z przyjaciółmi czy-
ni je weselem.*

Posłanctwem poety jest wyśpiewać przyszłość. Poeta opiewa to, co będzie. „Pamięć zmienia się w oczekiwanie, przekaz w obietnicę”.

Odsłania się tu kolejny sens nocy. Noc jest nie tylko mrokiem, zachowującym coś z minionego dnia — w jej cieniu wyczuwa duch, pod jej osłoną przygotowuje się przyszłość. Noc jest czasem ochrony i skupienia. Bogowie żyją teraz daleko, „w innym świecie”:

*...tak bardzo szanują nas nieba
mieszkańcy.*

*Gdyż zawsze potrafi obić ich kruchę
naczynie.*

*Człowiek tylko czasami może znieść
boską pełnię.*

*Snem o tych chwilach jest potem życie
Ale błądzenie*

*Bywa pomocna jak drzemka, bieda
i noc daje siłę.*

Śmiałe nocne wędrowki poety dają mu przekonanie, że ta epoka zmierzchu jest świętą nocą, znakiem niechybnego powrotu Boga.

*Co wróżyła pieśń starożytnych o dzie-
jach Boga, spójrz to my jesteśmy: to
owoc Hesperii.*

Oprac. MAREK AMBROŹY



Fragment uroczystości instalowania ks. Leonarda Kosińskiego, proboszcza parafii Św. Rodziny, McKeesport (Pa) na seniora

Z życia PNKK w USA

PARAFIA pw. ŚWIĘTEJ RODZINY w McKEESPORT

Redakcja „Rodziny” otrzymała od ks. Seniora Leonarda S. Kosińskiego (Koshinski) kilka zdjęć obrazujących życie religijne w parafii McKeesport. Wyrażając tą drogą wdzięczność Księdzu Seniorowi — proboszczowi tej parafii — równocześnie prosimy, aby na przyszłość do wysyłanych zdjęć dołączać krótką historię parafii lub też album, w którym taka historia jest zawarta. Tę prośbę kierujemy do wszystkich duchownych PNKK. Pragniemy bardzo zamieszczać w naszym tygodniku historię parafii naszego kościoła w USA i Kanadzie, nie możemy jednak opierać się tylko na starych źródłach, jak np. „Księga Pamiątkowa 33”, lecz chcielibyśmy, aby dzieje danej parafii były doprowadzone do czasów najnowszych. Tym razem zamieścimy krótką wzmiankę o początkach parafii w McKeesport, czerpiąc dane z „Księgi Pamiątkowej” z r. 1929. Prosimy o nadsyłanie materiałów pod adresem: Redakcja „Rodziny”, ZW „Odrodzenie, ul. Kredytowa 4, 00-062 Warszawa, Polska”.

Parafia Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w McKeesport — miasteczku położonym około 20 km od Pittsburga — została zorganizowana przez ks. J. Kłosa w r. 1921. Jak zapisano w „Księdze Pamiątkowej” (s.476-477) początki parafii były trudne: „miejscowi księża rzymscy, nie chcąc dopuścić do powstania narodowej parafii,

używali wszelkich środków, byleby tylko uniemożliwić pracę. Oskarżono organizatorów parafii o to, że są bolszewikami, przez co utrudniano wynajęcie sali na zgromadzenie”.

Okazało się wkrótce, że przeszkody te nie były nie do pokonania, gdyż w ciągu jednego roku zakupiono plac pod budowę kościoła, wzniesiono szybko piękną drewnianą świątynię, w której już w grudniu 1921 roku została odprawiona Pasterka. W niespełna dwa lata, parafia wówczas licząca 150 rodzin, zakupiła działkę pod cmentarz. Jak było w zwyczaju w owych czasach, natychmiast zorganizowano przy parafii kilka towarzystw, chór im. Fryderyka Chopina, Towarzystwo Niewiast A.N.S., Towarzystwo Józefa Piłsudskiego, Tow. Dzieci Maryi, Oddział Polsko-Narodowej „Spójni”. W latach 1925-1929 pod kierownictwem ks. prob. Romana Ostrowskiego, nastąpił rozkwit parafii. Jak było dalej, nie wiemy (my tu, w Polsce), ale z nadesłanych nam zdjęć widzimy, że w parafii zbudowano piękny, nowy kościół, a życie religijne w niej kwitnie za rządów ks. proboszcza Leonarda Kosińskiego, który nie tak dawno otrzymał zaszczytną godność Seniora. Księdzu Seniorowi życzymy Bożej pomocy w pełnieniu trudnych obowiązków, a całej parafii intensywnego rozwoju.



Kościół pw. św. Rodziny w McKeesport, Pa



Akademia poświęcona propagowaniu wiedzy o Polsce



Rekolekcje dla ministrantów w Diecezji Buffalo-Pittsburgh przy parafii Sw. Barbary. Houtzdale, Pa. Senior Tadeusz Peplowski jest tu proboszczem

PENSYLWANIA, USA



Dzieci ze szkoły Chrześcijańskiego Życia przy parafii św. Rodziny





MODLITW...

KOLUMBIA, EKWADOR, WENEZUELA,
SURINAM I GUJANA

Wymienione w tytule kraje Ameryki Łacińskiej można podzielić na dwie grupy: pierwsza, w której większość stanowi Kościół Rzymskokatolicki, składa się z Kolumbii (24 miliony mieszkańców; ludność złożona z Indian i emigrantów z Półwyspu Iberyjskiego), Ekwadoru (6,5 mln. mieszkańców) i Wenezueli (12 mln. mieszkańców). Po podboju kraje te wchodziły w skład hiszpańskiego imperium kolonialnego, które obok rzymskokatolicyzmu nie tolerowało innych wyznań chrześcijańskich. Grupy protestanckie mogły rozpocząć swoją działalność misyjną pośród żyjących tam cudzoziemców dopiero wówczas, gdy kraje te w trzeciej dekadzie XIX w. osiągnęły polityczną niezawisłość. W niektórych przypadkach działalność ta była ograniczona nawet do połowy XX w.

W drugiej grupie krajów (Surinam — dawna Gujana Holenderska i Gujana — dawna Gujana Brytyjska) Kościoły protestanckie powstały w epoce kolonializmu. W 1738 r. działalność misyjną rozpoczęła Herrnhucka Wspólnota Braterska. Liberalna i tolerancyjna postawa władz kolonialnych z XVIII i XIX w. umożliwiła podjęcie pracy misyjnej przez przedstawicieli wielu różnych tradycji chrześcijańskich.

Kościół Rzymskokatolicki jest tradycyjnym Kościołem zarówno w Kolumbii i Ekwadorze, jak i w Wenezueli. Dostateczna liczba duchownych pochodzenia miejscowego, duch liberalizmu, sekularyzacja i zmateralizowany styl życia stworzył w Wenezueli sytuację, którą pod względem duchowym można porównać z sytuacją panującą w krajach północnoatlantyckich.



Większość grup protestanckich ma charakter ewangelikański, często fundamentalistyczny, i nastawiona jest krytycznie wobec Kościoła Rzymskokatolickiego. W Kolumbii wielu protestantów współpracuje w ramach Konfederacji Ewangelickiej.

Współpraca Kościołów nie przybrała na ogół formy zinstytucjonalizowanej, chociaż w Gujanie istnieje Rada Kościołów. Mimo nacechowanej entuzjazmem pracy misyjnej Kościoły ewangelikańskie nie zdołały osiągnąć wielkiego wzrostu na kontynencie, którego ludność składa się w 55% z młodzieży. To samo dotyczy tradycyjnych Kościołów protestanckich, ich pracy duszpasterskiej pośród średniej i wyższej warstwy społecznej.

Wielu wyznaniom i denominacjom chrześcijańskim nie brak zapалу misyjnego, mimo to jednak większość z nich pozostała niewielkimi grupami. Sytuację chrześcijaństwa komplikuje jeszcze obecność innych religii na tym terenie (muzułmanie, hinduiści i surinamscy buddyści). Bogactwo finansowe tradycyjnych krajów islamskich Bliskiego Wschodu przyczynia się do ciągłego wzrostu lokalnych wspólnot islamskich. Zainteresowanie Zachodu myślą religijną subkontynentu indyjskiego doprowadziło do duchowego obudzenia i wzrostu świadomości hinduistów i buddystów w Ameryce Łacińskiej.

LISTA KOŚCIOŁÓW

Afrykański Kościół Metodystyczno-Episkopalny w Gujanie
Afrykański Kościół Metodystyczno-Episkopalny Syjonu w Gujanie
Armia Zbawienia
Herrnhucka Wspólnota Braterska w Gujanie i Surinamie

Kooperacyjny Związek Baptystów w Gujanie
Kościół Episkopalny
Kościół Ewangelicko-Luterański — Synod Kolumbii
Kościół Luterański w Gujanie
Kościół Metodystyczny na Wyspach Karaibskich i w Ameryce (Gujana)
Kościół Prezbiteriański Gujany
Kościół Prezbiteriański Kolumbii
Kościół Prezbiteriański Wenezueli
Kościół w Prowincji Wyp. Indii Zachodnich (anglikański)
Kościół Rzymskokatolicki w Ekwadorze, Kolumbii, Wenezueli, Surinamie i Gujanie
Kościół Wesleyański w Gujanie
Kościół Wesleyański w Kolumbii
Krajowa Unia Baptystów Wenezueli
Rada Luterańska Wenezueli
Unia Baptystów Kolumbii
Unia Wolnych Zborów Gujany (kongregacyjne)

Związek Kościołów Ewangelicko-Luterańskich Ekwadoru

Do naszej modlitwy dołączamy też rady ekumeniczne i wspólnoty robocze na płaszczynie lokalnej i krajowej.

Wspominamy również ruchy i społeczności chrześcijańskie, które zwiastują Jezusa Chrystusa i służą Mu.

Dziękczynienie i prośba

*Dziękujemy Bogu
za szczere i pokorne świadectwo chrześcijańskie w tych krajach;
za załączki współpracy ekumenicznej i solidarności w czasach cierpienia i ucisku,
Prosimy Boga,
by wszystkim chrześcijanom ukazał drogę wiodącą do wspólnoty z uciskanymi, głodującymi i zaniedbanymi;
by pośród wszystkich ludzi, zwłaszcza wśród bogatych,
wzrosło poczucie odpowiedzialności i troski o bliźniego;
by Kościoły stały się znakiem zbawienia i jedności pośród dotkniętego polaryzacją społeczeństwa;
by ruch ekumeniczny we wszystkich krajach został wypełniony życiem i by Kościoły wrazały we wspólnocie braterskiej.*

Modlitwa na temat: Panie, kiedy widzieliśmy Ciebie?

*Byłem głodny i bliski śmierci głodowej,
a ty byłeś dobrej tuszy;
byłem spragniony, a ty polewales swój ogród;
nie miałem się gdzie podziąć i utraciłem nadzieję,
a ty wezwales policję i cieszyłeś się, że mnie zamknęli;
byłem bez butów i w lachmanach, a ty powiedziałeś: „nie mam się w co ubrać, muszę kupić sobie coś nowego”;
byłem chory, a ty pytałeś: „czy jest to zaraźliwe?”;
byłem więziony, a ty powiedziałeś: „tam jest miejsce dla wszystkich członków twojej klasy”.*

Panie, zmiłuj się!



JESIEŃ W POEZJI LEOPOLDA STAFFA

Kartoflisko

Pod niebem, co jesiennym ślapi kapuśniakiem,
Na sejm zlatują wrony w zalobnym zespole
I z krzykiem krąży nisko nad kobiet orszaklem,
Rozpinające swych skrzydeł czarne parasole.

A robotnice w twardym, cierpliwym mozole,
Okryte — każda innym — barwistym welniakiem,
Pziobła pilnie motyka ziemniaczane pole,
W miękkiej ziemi stopami zaparte okrakiem.

Pośród mgły i szarugł, przemekle do nitki,
Grudy grzęd rozgarniają schyłone najmitki
I spod zeschłych badyli i płytych korzeni

Zbierają kragle hulwy, jak jaja spod kwoki,
I rzucają je w wiadro lub ceber głęboki,
Co głucho grzmia jak hębny na odmarsz jesieni.

Do

oddziału „Mullera” (Konstanty Witkowski), kwaterującego pod wsią Kobylany, na kolonii Kurczyńskiego, przybył łącznik z wiadomością o wywożeniu z Huszlewa ludzi na roboty. „Muller” zdecydował się wysłać wię-

kszy patrol. Grupa oddziału dowodzona przez por. „Sępa”, — (Władysław Bykowski), w sile 15 partyzantów, zatrzymała się w lesie Huszlew-Kobylany. Było tam doskonale miejscem na tego rodzaju zasadzkę. Gęsty, młody las doskonale maskował ukrytych partyzantów, a jednocześnie nie przeszkadzał im obserwować szosy.

Wywożonych na roboty odbili chłopcy „Sępa” bez jednego wystrzału, ponieważ osłona 2 policjantów granatowych poddała się bez walki. Ale od nich właśnie por. „Sęp” dowiedział się że w budynku gminnym i plebanii pozostała cała właściwie osłona niemiecka. Por. „Sęp” postanowił zaatakować Niemców. Oddział podzielony na dwie grupy uderzył jednocześnie na urząd gminny i plebanie. W gminie zabito jednego Sonderdiesta, a drugiego wzięto do niewoli. Zabrano również wszystkie spisy i Księgi ludności, roczników podlegających wywóźce na roboty.

Skład grupy atakującej gminę stanowili: Por. „Jacek” (Konstanty Socharczyk), „Wilk” (Kazimierz Czarbecki) i „Guz” (NN). Pozostała grupa ostrzelała plebanie i zdobyła samochód ciężarowy. Następnie obie grupy połączyły się za kościołem i odjechały zdobytym samochodem.

W dniu 15 sierpnia 1943 r. doszło na koloniach łomazkich do nowych, wstrząsających wydarzeń. Duże siły Wehrmachtu, żandarmerii, Schützpolizei i policji granatowej przeprowadziły wielką oblławę w lasach Zarzeka, Bordziłówek i Huszczy. Głównym celem tej akcji było zniszczenie i zlikwidowanie radzieckich oddziałów partyzanckich „Wołodii” i „Uczyciela” — (NN), operujących przeważnie na tych właśnie terenach. Akcja ta, na szczęście, nie powiodła się, mimo że była starannie przygotowana.

Już w sobotę, wieczorem, doszło do starcia między dobrze ukrytymi oddziałami niemieckimi na kol. Sitaki, a częścią oddziału „Uczyciela”. Kilku partyzantów, idąc drogą Huszcza — Łomazy, omal nie wpadło w dobrze urządzoną zasadzkę w Sitakach. Niemal w ostatniej chwili jeden z partyzantów zauważył stojący na podwórzu samochód. To wystarczyło, aby partyzanci zajęli pozycję bojową w przydrożnym rowie. Doszło do wymiany strzałów. Niemcy, widząc że partyzantów jest niewielu, usiłowali ich otoczyć i wybić do „nogi”. Ale Rosjanie okazali się doskonałymi żołnierzami. Dwóch lub trzech z nich zatrzymało nacierających, reszta posuwała się rowem w stronę lasu. Dzięki tej taktyce tylko dwóch partyzantów zostało rannych, ale wszyscy szczęśliwie dotarli do lasu, wraz z rannymi. Potyczka stoczona na drodze Łomazy-Huszcza pozwoliła jednak oddziałom „Wołodi” i „Uczyciela” jeszcze tego samego wieczoru wycofać się w lasy. Podjęcie walki z bardzo silną grupą hitlerowców było z góry skazane na niepowodzenie.

Wczesnym rankiem, 15 sierpnia, hitlerowcy rozpoczęli przeczesywanie lasu. Posuwali się dwójkami, co kilka metrów od siebie, groźni, zwarci, z bronią gotową do strzału. Oblawa rozpoczęła się o kilka godzin za późno, a jedynym jej sukcesem było odnalezienie pustych ziemianek — bunkrów, opuszczonych przez partyzantów. Wściekłość hitlerowców nie miała chyba granic. Wielka oblawa, na którą ściągnięto wojsko aż z Białej Podlaskiej, zakończyła się zupełnym fiaskiem. Trzeba było więc na kogoś wyładować złość. Ale na kogo? Na kolonii Zarzeka, zwanej również Naddatkami, mieszkały w lesie rodziny Horaczyńskich i Waśkiewiczów. Obie te rodziny odwiedzane były przez partyzantów, co nie było dla okolicznych ludzi tajemnicą. Właśnie na podwórzu u Horaczyńskich zatrzymało się dowództwo oblawy. Przypadkowo czy celowo? Na to pytanie nikt nie może dać pewnej odpowiedzi. Niestety chcieli (a może zły los), że jeden z żołnierzy znalazł w pobliżu pustą łuskę po kuli karabinowej. To wystarczyło hitlerowcom. Po kilku minutach ustawiono pod stodołą całą



KRWAWY DNI OKUPACJI

5-osobową rodzinę i bez litości rozstrzelano. Nie oszczędzono nawet syna Mikołaja, który przyjechał do rodziców w odwiedziny z pobliskich Wisznic, gdzie na stałe zamieszkiwał.

Rozbestwieni oprawcy (żądni widocznie krwi) pobiegli następnie do sąsiadów Horaczyńskich — Waśkiewiczów, których również po przeprowadzonej rewizji wymordowali. Ocalała tylko ich córka Weronika, która w tym czasie przebywała u koleżanki na kol. Bordziłówka. Prawdziwe szczęście dopisało tylko partyzantowi, zwanemu popularnie przez ludzi „Czerwonym Beretem” (NN). W czasie oblawy znalazł się on w środku zamkniętego pierścienia, a mimo to ocalał, bo był to spryciarz nie lada. Przyłączył się on do chłopców pasących krowy na niewielkiej polanie. Chłopcy Ci spisali się dzielnie. Pomogli mu schować karabin, przykrywając go płachtami, jakimi zwykle okrywali się w czasie chłodnych ranków. Gdy nadeszli hitlerowcy, „Czerwony Beret” — doskonale naśladowując pastucha — popędział krowy. „Nie szli tędy bandyci?” — zapytał któryś z Niemców. Najstarszy wiekiem chłopiec, Felek Poszytek, odpowiedział bez wahania: „Nie nikogo tu nie widzieliśmy”... Niemcy poszli dalej.

Rozpoczęła się dalsza likwidacja gett, tym razem już na terenach naszego powiatu. Po likwidacji gett w Białej Podlaskiej i Konstantynowie, w dniu 28 sierpnia Schutzpolizei przeprowadziła morderczą akcję w Łomozach. Był to krwawy dzień, który na długo zapisał się w pamięci mieszkańców miasteczka.

Tego krytycznego dnia na placu szkolnym zgromadzono przeszło 2,5 tysiąca Żydów, których wyrzucono brutalnie z domów. Część Żydów (około 600) pochodziło z Wołomina. Przygnano ich do Łomaz na kilka dni przed egzekucją. Przy pomocy pejczy i brutalnych razów ustawiono wszystkich Żydów, bez względu na płeć i wiek, i pognano do lasu, zwanego przez miejscowych ludzi Hały, gdzie

już wcześniej przygotowano kilka olbrzymich dołów. Kilkunastu młodych Żydów usiłowało ukryć się w szkole, szybko ich jednak wykryły psy. Zbitych i skatowanych rozstrzelano na miejscu. Wszystkich pozostałych spotkał ten sam los w kilka godzin później, w lesie Hały.

Do ustawionych nad wykopanymi dołami Żydów strzelano z kilku karabinów maszynowych. W egzekucji brała udział również żandarmeria z Wisznic oraz policja ukraińska. Podobno kilka godzin ruszała się jeszcze ziemia na miejscu zbrodni. Zabitych i rannych rzucano do wspólnych dołów i szybko zasypywano.

W dniu 5 września nastąpiła również likwidacja getta w Rossoszu. Żydom pozwolono zabrać tylko bagaże ręczne i po godzinie (przeznaczonej na przygotowanie) popędzono ich szybko w kierunku Łomaz. Jedna ze starszych Żydówek została zastrzelona zaraz po wymarszu tylko dlatego, że nie nadążała za popędzaną grupą. Kilku młodych Żydów i Żydówek zdołało zmylić czujność żandarmów i ukryło się w lasach Zagory.

W dniu 13 listopada odbyła się w Białej Podlaskiej pierwsza publiczna egzekucja na 10 zakładnikach. Już na kilka godzin przed egzekucją ukazały się obwieszczenia z nazwiskami skazańców, podpisane przez „szefa Gestapo” — Maksa Kubina i Kreishauptmanna. Zbrodni dokonano na Pl. Wolności, w pobliżu poczty. Tę smutną i tragiczną scenę oglądał sam SS-Obersturm-führer Maks Kubin.

Publiczne rozstrzelanie 10 zakładników wstrząsnęło do głębi mieszkańców Białej Podlaskiej. Pamiętają oni zbyt dobrze dawne miejsce zbiorowych egzekucji — las Grabarkę.

Na tym samym Pl. Wolności, w dniu 24 listopada, rostrzelano dalszych 15 zakładników. Okupanci od pewnego czasu stosowali tzw. zbiorową odpowiedzialność za akcję zbrojnego oporu. Kim byli zakładnicy? Byli to ludzie przeważnie ujęci w łapaniach ulicznych bądź aresztowani w innych okolicznościach. Czasami wśród zakładników znajdowali się również członkowie Ruchu Oporu. I w tej egzekucji, podobnie jak w pierwszej, brał osobiste udział Maks Kubin, okrutny oprawca w mundurze...

Ukazały się również obwieszczenia z nazwiskami rostrzelanych zakładników oraz dalsze nazwiska osób przewidzianych do ponownej egzekucji w razie następnych „bandyckich” dywersji.

Świadcami krwawej zbrodni było 12 żołnierzy z oddziału „Lecha” (Stanisława Chmielarskiego), którzy otrzymali zadanie, aby odbić lub uratować zakładników. Niestety, nie udało im się to wykonać. Niemcy jak gdyby przewidując taką możliwość, ściągnęli wokół placu egzekucji większe siły Wehrmachtu żandarmerii i policji.

Przypuszcza się, że 15 zakładników zostało rostrzelanych w odwet za wysadzenie mostu pod Chotyłowem.

Również z Warszawy nadeszły smutne wiadomości. Dokonano tu, w dniu 16 października, pierwszej, publicznej egzekucji na 20 zakładnikach. Stało się to na rogu ul. Madałińskiego i Al. Niepodległości. Pomimo krwawych i trudnych dni Warszawa żyła i walczyła z okupantem. To właśnie w Warszawie powstała znana piosenka ulicy, w tramwaju, pociągu:

*Siekiera, motyka, bimbru szklanka
W nocy nalot, w dzień łapanka.
Siekiera, motyka, światełko, prąd.
Kiedyż oni pójdą stąd.*

Spiewali ją mali gazeciarze, orkiestra uliczna, ślepy skrzypek:

*Siekiera, motyka, piłka, alasz
Przegrał wojnę głupi malarz.
Siekiera, motyka, piłka, nuż
Przegrał wojnę już, już, już...*

CZESŁAW BUJNIK

HISTORIA LECZENIA ZŁAMAŃ

Badania starożytnych cywilizacji, głównie mumii i wykopalisk, wykazują, że już przed dziesiątkami wieków dokonywano leczenia złamań kości z dużym zrozumieniem celowości tych zabiegów. Częste wojny prowadzone przez starożytnych oraz popularne walki gladiatorów dostarczały obfitego materiału uszkodzeń i złamań kości. Oglądając szkielety z tego okresu można spotkać dużą liczbę przebytych złamań i ślady ich leczenia.

Słynny lekarz Hipokrates zalecał unieruchamianie złamanej kończyny w łubkach, a następnie zakładanie bandaży nasyconych woskiem i krochmalem. Po paru dniach, gdy obrzęk mijał, należało zmienić opatrunk.

W starożytnym Egipcie używano do tego celu tkanin nasączonych żywicą, woskiem i mąką. Zaś lekarze arabscy stosowali opatrunki unieruchamiające złamaną kończynę, składające się z wapna i białka jaj. Opatrunki takie miały dużą wytrzymałość, a po wyschnięciu twarde były jak kamień.

Po okresie średniowiecza, które nie tylko nie wniosło niczego nowego do sposobu leczenia złamań, ale nawet zarzuciło wiele sprawdzonych metod starożytności, w epoce renesansu chirurdzy ponownie zwrócili uwagę na potrzebę unieruchomienia w leczeniu złamań.

Leczenie złamań przy pomocy opatrunków gipsowych, obecnie powszechne na całym świecie, praktykowane jest w Europie stosunkowo od niedawna. Trafiło ono do Europy z Arabii dzięki angielskiemu konsulowi Etonowi, który opisał je w roku 1769. Pisał on w swym sprawozdaniu: „We wschodnich prowincjach królestwa zobaczyłem szeroko praktykowany sposób unieruchamiania złamanych kończyn, który wedle mnie zasługuje na uwagę naszych chirurgów w Europie. Polega on na zamknięciu złamanej kończyny, po jej nastawieniu, w opatrunku gipsowym, który przybiera dokładnie kształt kończyny bez wywierania na nią ucisku, a twardej w kilka minut. Masa ta może być z łatwością przecięta nożem i zdejmowana. Jeżeli obrzmienie kończyny ustępuje, a opatrunek stanie się za luźny, przez specjalnie zrobione uprzednio otwory wlewa się płynny gips, który wypełnia puste przestrzenie i doskonale unieruchamia kończynę”.

Zbliżoną metodą do opisywanej przez angielskiego konsula leczono złamania w starożytnych Indiach, gdzie gips zastępowano gliną. Leczenie gipsowymi opatrunkami w takiej formie jak to się dziś stosuje, wprowadził w połowie XIX wieku chirurg holenderski Mathysen. Metoda jego polegała na używaniu sproszkowanego gipsu, wciieranego w bawełniane bandaże, które przed użyciem zanurzano w wodzie. W czasie wojny krymskiej, w roku 1854, metoda ta była już powszechnie stosowana przez chirurgów wojskowych. Słynny w tym czasie chirurg rosyjski Pirogow, z braku materiałów opatrunkowych na polu walki pierwszy użył do tego celu ubrania ranego. Wycinał z ubrania odpowiednio długie kawałki, pociągał je rzadko rozdrobnioną mieszaniną wody z gipsem, nakładał na złamaną kończynę, po czym smarował jeszcze raz wszystko rzadką papką gipsową.

Dzisiaj leczenie złamań opatrunkami gipsowymi jest metodą ogólnie przyjętą i dającą dobre wyniki. Mimo bowiem ogromnego rozwoju chemii i produkowania wielkiej ilości rozmaitych mas plastycznych, nie wynaleziono jeszcze takiego sztucznego tworzywa, które mogłoby zastąpić gips, posiadając wszystkie jego cechy fizykochemiczne. A.M.

SPORT

A ORGANIZM CZŁOWIEKA



Każdy ruch sportowca angażuje trzy autonomiczne układy pracujące równocześnie: układ nerwowy, układ mięśniowy i układ hormonalny. Układy te mogą być czynne tylko dzięki dostarczaniu im energii przez serce, płuca i układ trawienny.

Kiedy sportowiec z rozmachem startuje na bieżni, mobilizuje całe swe ciało — od pojedynczej komórki nerwowej po cały mózg, od najmniejszego włókna mięśniowego po wszystkie mięśnie. Rozkaz takiej mobilizacji nadchodzi z kory mózgowej. Natychmiast potem mózdzek i rdzeń przedłużony, które sprawują kontrolę nad równowagą, reagują na wzmożone wymagania narządów, których praca związana jest z wysiłkiem mięśni; rdzeń nadnerczy wymaga produkcję adrenaliny, która pobudza rytm serca i spalanie glikogenu przez mięśnie, z miejsca też interweniuje neurohormon acetylcholina też pobudzająca, wyzwalana na zakończeniach włókien nerwowych. Wreszcie przez cały czas trwania biegu mózg bez przerwy rejestruje wrażenia wywoływane przez bodźce działające ze środowiska zewnętrznego, zarówno przeszkody, jak i doping widowni — co odgrywa dużą rolę u sportowca.

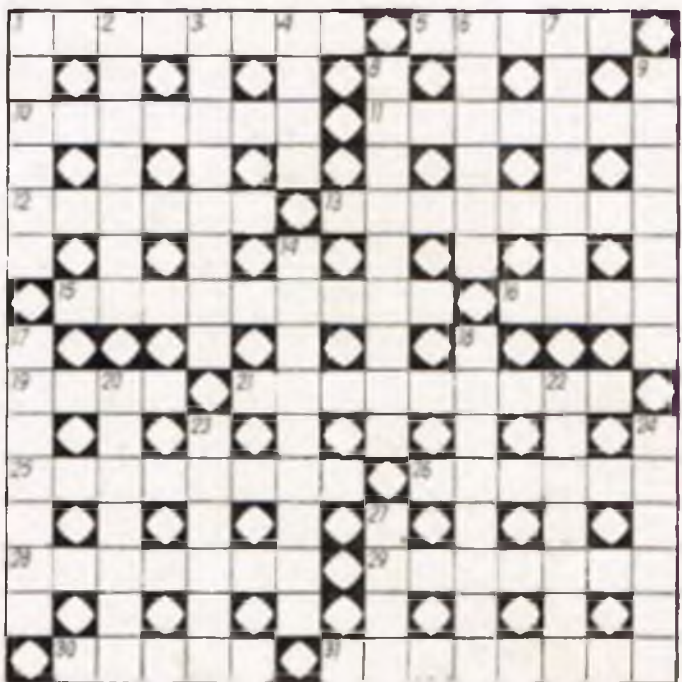
Czynnikiem zasadniczym, który wyznacza maksymalną granicę wysiłku — jest prędkość, z jaką tlen dociera do mięśni. Maksymalne pobranie tlenu wynosi 5,5 litra na minutę. Jeden litr tlenu wytwarza moc około 0,1 konia parowego.

U dorosłego człowieka częstość skurczów serca wynosi około 70 na minutę. Każdy skurcz serca wciąga do tętnicy głównej i jej rozgałęzień 80 ml krwi. Natomiast podczas wyczynowego wysiłku sportowego ilość krwi wytlaczonej za każdym skurczem osiąga 160 ml, czyli w ciągu minuty około 30 litrów krwi, a więc trzykrotnie więcej.

Ogromnej pracy podołać muszą również płuca sportowca. Dla sprostania wysiłkowi, wentylacja płuc, mierzona w czasie spoczynku ilością 5 litrów na minutę wdychanego powietrza, osiąga u wyczynowca aż 50 litrów powietrza na minutę, a ilość wdechów podnosi się z 14—16 do 50 na minutę.

A więc moc „ludzkiego motoru” jest ograniczona, tym bardziej, że „motor” ten musi uruchamiać olbrzymi ciężar mięśniowy. Ponieważ masa mięśniowa wynosi ok. 45% całego ciała, a kilogram mięśni może produkować moc równą 0,3 koniom parowym, ciało człowieka może teoretycznie osiągać moc 10 koni parowych, ale tylko teoretycznie.

Trzeba więc przyjąć, że istnieją jakieś nieprzekraczalne granice wyników wyczynowego sportu. Czy jesteśmy już ich blisko — to inna sprawa. A.M.



KRZYŻÓWKA NR 22

POZIOMO: 1) przyjacielskie stosunki, zażyłość, 5) mowa niewiązana, 10) szpagat, 11) najdalej na północ wysunięty punkt Polski, 12) rysunek nakluty na ciełe, 13) wymiana zdań na określony temat, 15) zakład poligraficzny, 16) zadrzewiony teren spacerowo-wypoczynkowy, 19) rodzaj naleśnika z mąki, 21) jeden z wydziałów wyższych szkół rolniczych, 25) nakrycie głowy, 26) dramat Wyspiańskiego, 28) bezwładność, 29) wystawne przyjęcie, 30) imię Olbromskiego z „Popiołów”, 31) sąsiad Włocha.

PIONOWO: 1) światłoszczelne pudełko używane przez fotografa, 2) kontrolny odbiornik telewizyjny, 3) kuzynka gołębia, 4) roślina pastewna, 6) możliwość, że coś się uda lub nie uda, 7) znany bydgoski klub sportowy, 8) na wirażu, 9) rodzaj wąskiego tapczana, 14) zapowiedź tego, co ma nastąpić, 17) rama zamocowana w ościeżu okiennym, 18) zakład naukowy szkoła wyższego stopnia, 20) spektakl, widowisko, zawody, 22) kolista wiązanka kwiatów, 23) słońce, niepogoda, 24) bohater „Iliady” zabity przez Achillesa, 27) harcerskie wczasowisko.

Rozwiązania należy nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „Krzyżówka nr 22”. Do rozlosowania:

nagrody książkowe

Rozwiązanie krzyżówki nr 18

POZIOMO: sprężyna, rampa, oczeret, zderzak, Czarna, Szczepan, Sztokholm, usta, alka, szynszyla, kapelus, gratka, ostatek, obierki, antał, blacharz. **PIONOWO:** słońce, rozpacz, żyrandol, nota, areszt, przepis, szczelina, skandal, chrząstka, banknot, czerwiec, kapitan, loteria, blotka, Kalisz, woal.

Za prawidłowe rozwiązania nagrody wylosowali: Henryk Krużyński z Koblbrzegu i Jan Kusłński z Zielonej Góry. Nagrody prześlemy pocztą.

RADZIMY

I PROPONUJEMY

RODZINIE

Domowe lekcje patriotyzmu. Tych pierwszych udzielają zwykle rodzice, gdy 3—4 letni malec, a często jeszcze młodsze dziecko, zaczyna recytować z powagą znany i jakże charakterystyczny dla polskiego patriotyzmu wiersz: „Kto ty jesteś? Polak mały”. Wzruszamy się wtedy i myślimy, że oto rośnie patriota. Rośnie w dobrym tradycyjnym domu, bo patriotyzm to jakby polska tradycja.

Mówiło się kiedyś w Europie, i nie tylko w Europie, że polskie dzieci chłoną miłość do Ojczyzny z mlekiem matki. Mówiło się o tym z zazdrością, bo patriotyzm to cecha ogromnie cenna: cecha, która jest podstawową gwarancją istnienia narodu, obrony jego odrębności, kultury.

Przychodzimy wszyscy na świat w określonym miejscu na ziemi. Rośniemy, wychowujemy się, dojrzewamy wśród ludzi nam bliskich, ludzi, którzy także tu rodzili się, rozwijali, zdobywali wielokierunkowe doświadczenie. I potem mówi się o nas wszystkich: z jednej gleby wyrosli, z tej samej gliny ulepieni... Łączy nas bowiem nie tylko wspólny język, ale i tradycje, obyczaje, wspólne zalety i podobne przyzwyczajenia. One to w sumie powodują, że czujemy się właśnie tu, w swojej ojczyźnie, najbardziej swojsko, najbardziej bezpiecznie. Jesteśmy po prostu między swoimi.

Znaczenie tego wspólnego miejsca na ziemi w życiu człowieka potrafili docenić nie tylko Polacy. W wydanej przed paru laty pracy znanego futurologa Alwina Tofflera „Szok przyszłości” natknąłem się na następujący fragment (cytuje w oryginale): „Wystarczy odciąć jednostkę od jej własnej kultury i umiejscowić ją nagle w środowisku całkowicie odmiennym, wyposażać ją w całkowicie nowy zestaw wzorców — symboli, które mają pomoc w reakcjach psychicznych na całkowicie inne pojmowanie czasu, przestrzeni, pracy, miłości, religii, seksu i całej otaczającej rzeczywistości. Jeśli odciąć następnie taką jednostkę od wszelkiej nadziei powrotu do bardziej bliskiego jej środowiska społecznego, podwoi się ostrość zaburzeń, którym ulegnie jej psychika”.

A więc swojej ziemi przypisaliśmy... Do niej tęskniący i wracający nawet po latach, bo los rzucił Polaków w różne krańce świata, czasem piękne i bogate budzące wiele nadziei, ale przecież obce. I gdy nostalgia nie dawała żyć, przypominało się właśnie owe zamierzchnie domowe lekcje patriotyzmu, wyciągało jakies stare zdjęcia, pamiętki. By mieć choć przez chwilę złudzenie, że jest się znowu tam, pomiędzy swymi.

Gdy myślę o moich własnych lekcjach patriotyzmu, przypominam sobie nie tylko wieczory z



O MOICH WŁASNYCH LEKCJACH PATRIOTYZMU



dzieciństwa, gdy słuchałem z siostrami opowieści o Bolesławie Chrobrym i śpiących w Tatrach rycerzach, o wozie Drzymaly i całej plejadzie krewnych, którzy walczyli i ginęli w różnych zakątkach świata, ale zawsze za Polskę. Przypominam sobie to wszystko i teraz sam opowiadam o tym moim synom i córce. Myślę w takich chwilach również o tych wszystkich dziwnych spotkaniach, jakie zdarzały mi się daleko poza granicami kraju. O wstydzie, z jakim przyznawałem się, że nie byłem nigdy w Płońsku, Rybniku czy Hrubieszowie, bo spotkany rodak — mój rozmówca — tam właśnie się urodził, tam wychował i te miejscowości uważa za najważniejsze na świecie. Pragnął więc wiedzieć, czy np. w Płońsku na ulicy Staszica, stoi jeszcze mały drewniany domek z gankiem, czy w gliniankach za miastem nadal kąpią się chłopcy, mimo zakazu rodziców i czy odnowiono wreszcie Rynek, bo podobno teraz o zabytki w Polsce dba się.

a takich jak w Płońsku nie spotyka się często...

I tutaj podkreślić muszę, że tego rodzaju rozmowy były dla mnie lekcją patriotyzmu dojrzałego, ale równie ważnego, jak tamte, dziecięce wieczory. One przecież nie tylko uczyły czuć i myśleć po polsku, ale cenić to wszystko, co własne, rodzime.

Były jeszcze inne lekcje, może niezauważalne, ale jakże ważne. Drobne obserwacje, które uczyły szacunku dla tego wszystkiego, co nas otacza, co jest naszym wspólnym dorobkiem.

Ostatnio byłem świadkiem, jak stary pracownik kopalni „Anna”, w Wodzisławiu Śląskim — Pszowie, zrobił piekielną awanturę paru członkom dyrekcji kopalni o bałagan na placu drzewnym.

— Dwa lata temu — wolał — zanim poszedłem na emeryturę, panowały tu całkiem inne po-

rządki, nie było do pomyślenia, aby mogło marnować się tyle drzewa!

— Przyjdźcie, pomoście w sprzątaniu, to wam podziękujemy i zapłacimy — znalazł wyjście jeden z atakowanych.

— A pewnie, że przyjdę, widać bez nas, starych, nie możecie sobie poradzić... Na kopalni „Anna” jest ponad 25 lat mojego życia, nie pozwolę tego marnować!

To była dobra lekcja. Tak dobra, że chciałoby się ją pokazać wszystkim młodym. Bo gdyby tak sprawę rozpatrzyć wnikliwie, doszlibyśmy do niewesołego wniosku, że nasze dzisiejsze lekcje patriotyzmu jakoś straciły znaczenie, stały się mniej ważne niż przed laty, gdy wszyscy cieszyli się odzyskaną wolnością, gdy patriotyzm utożsamiał się z narodowym bytem, językiem i kulturą, jeszcze tak niedawno spychanymi przez najeżdżące na margines życia.

Czy współczesna polska rodzina wychowuje swoje potomstwo na patriotów dumnych ze swej Ojczyzny, swego miejsca na ziemi? Czy wpaja w dzieci satysfakcję z dokonania przodków i osiągnięć rodziców?

Ileż to młodych ludzi lepiej zna zabytki Włoch, RFN, Francji, Węgier czy Bułgarii niż Zamościa, Kórnik, Wilanowa, a często nawet Krakowa czy Warszawy. Ileż to razy negujemy nasze wielkie narodowe wartości, najlepsze cechy charakteru Polaka!

Podkreślić należy, że dziś nie jest nam potrzebny — i wielkie to szczęście współczesnych pokoleń — patriotyzm, tak niezbędny niegdyś dla ochrony polskiej racji stanu. Dziś rację tę możemy chronić i umacniać patriotyzm pracy, zaangażowania, codziennej uczciwości i solidności. To prawda — historia nie przekazała nam wielu wzorców takiego właśnie patriotyzmu. W dziejach naszego kraju dzielny Polak — o czym wiemy także z opowieści matek i babek — często walczył. Ale przecież pracował. Bez jego trudu i wysiłku bez ogromnych często wyrzeczeń całych pokoleń, niedocenianych w literaturze i tradycyjnych przekazach zwykłych ludzi, nie byłoby dzisiejszej Polski, ciągle piękniejszej. Marzyli o niej Polacy od stuleci.

Te marzenia możemy zrealizować właśnie my — uczciwą, rzetelną pracą i społeczną postawą. I taki właśnie patriotyzm powinniśmy wpajać dzisiaj swoim dzieciom. My — rodzice, bo przywiązania do tego wszystkiego co ojcyste, wspólne, uczyć musi przede wszystkim rodzina. Domowe lekcje patriotyzmu mają dla psychicznego rozwoju dziecka znaczenie ogromne. Uczą poszanowania dla osiągnięć przodków, wyzwalają ambicje i chęć do szlachetnej rywalizacji. Utrwalają ów niezbędny dla każdego człowieka związek z jego miejscem na ziemi. Miejscem, które nas łączy i za które jesteśmy wspólnie odpowiedzialni.

HERBERT WIDERA

POGADANKI O HISTORII KOŚCIOŁA

ERAZM Z ROTTERDAMU

Zanim przejdziemy do omawiania dziejów rewolucji religijnej, znanej pod nazwą Reformacji, należy nieco miejsca poświęcić Erazmowi z Rotterdamu, który, jako czołowy humanista Odrodzenia, był znany i ceniony w całej Europie na przełomie XV i XVI wieku.

Erazm żył w latach 1467—1536. Wcześniej osierocony przez rodziców, uczył się pod kierunkiem Braci Wspólnego Żywota, a kiedy miał 17 lat wstąpił do klasztoru Augustianów, gdzie otrzymał znakomite warunki do kontynuowania studiów. Jeszcze w czasie pobytu w klasztorze, Erazm wydał pierwsze dzieło pt. „*Antibarbari*”, w którym bronił starożytnej literatury i człowieka, jako najwyższej wartości kultury klasycznej.

Za pozwoleniem władz duchownych Erazm opuścił klasztor, aby objąć stanowisko sekretarza bpa Henryka von Bergen. W roku 1495 udał się w podróż naukową do Paryża, a następnie do Anglii, gdzie poznał czołowych przedstawicieli życia umysłowego tego kraju: Johna Coleta, Tomasza Morusa i Johna Fishera.

W tym czasie Erazm wydaje szereg dzieł, które przyniosły mu ogromną sławę: „*Podręcznik żołnierza chrześcijańskiego*” (1502 r.), „*Pochwała głupoty*” (1509 r.) i pierwsze krytyczne wydanie greckiego tekstu Nowego Testamentu (1516 r.). Poprzez te publikacje Erazm stał się przywódcą humanistów, którzy oddali swoje wykształcenie

w służbę dla Kościoła i zabiegali o wpływ religijności Odrodzenia na naukę kościelną. Zdaniem Erazma, wzorem nowej religijności jest Kazanie na Górze, gdzie Chrystus ukazuje nam istotę wszelkiego humanizmu. Na tle tej religijności Erazm widział potrzebę odrodzenia Kościoła od wewnątrz, był spadkobiercą wszystkich tych, którzy nawoływali do odnowy życia religijnego duchowieństwa.

Ten baczący obserwator życia nie zawahał się napiętnować niezdrowe praktyki religijne, naiwny kult przedmiotów i relikwii. Kpił z tych, którzy wierzą, że jeśli popatrzą na wycięty z drewna wizerunek jakiegoś świętego, to ich nic złego nie spotka. Jeszcze namiętniej atakuje Erazm wypaczone praktyki odpustowe, kiedy to za pieniądze można było kupić odpuszczenie kar, nawet za te grzechy, których się jeszcze nie popełniło: „Cóż jeszcze mówić o tych, którzy sobie wygodnie i przyjemnie wierzą w wymyślone odpusty grzechów i niby przy pomocy klepsydry wymierzają sobie winy jak na tablicy matematycznej: wieki, lata, miesiące, dni i godziny i to bez żadnej przy tym omyłki. Tu na przykład byle jaki kupiec, żołdak czy sędzia uważa, że kiedy z wszystkiego, co zarabował innym odrzuci jakiś grosik, to już za jednym razem zmył z siebie bagno grzechów z całego życia i uważa, że już na mocy kupieckiego kontraktu odpuszczone mu wszystkie krzywoprzysięstwa, rozpusty, pijaństwa i kłótnie”. Przynajmniej takiego stanu rzeczy widzi Rotterdamczyk we wpływie ludzkiego czynnika na dzieje Kościoła. Tak daleko być nie może! Erazm woła o odnowę nie tylko struktury urzędów kościelnych, lecz widzi konieczność rewizji niektórych prawd, które uległy najwidoczniejszemu wypaczeniu. Jak poznać czystą prawdę? Uczony z Rotterdamu znajduje sposób. Trzeba sięgnąć do czystego źródła objawienia, do Pisma świętego.

Erazm z Rotterdamu był i pozostał do śmierci człowiekiem głęboko religijnym, członkiem Kościoła. Nigdy też nie zerwał więzi z hierarchią kościelną, która składa się ona z ludzi, tak samo jak inni, skłonnych do grzechu i słabości. Chociaż Erazm nie znalazł w sobie dość sił, by stanąć na czele ruchu reformacyjnego, to jednak wszystkie niemal jego nauki będą owocować w umysłach wodzów rewolucji religijnej szesnastego wieku.

KSIAZDZ LUKASZ

• PORADY • PORADY • PORADY • PORADY •

Lekarskie

REUMATYZM NIE JEDNĄ MA POSTAĆ...

W ubiegłym roku na łamach „*Rodziny*” pisaliśmy o chorobie reumatycznej, szczególnie groźnej dla dzieci, dziś poznamy inne postacie reumatyzmu, atakujące ludzi dorosłych i starszych wiekiem.

Mimo iż wszystkie schorzenia obejmujemy określeniem „choroby gośćcowe” (reumatyzm), przebieg ich i objawy znacznie się od siebie różnią. Pierwsza z postaci chorób gośćcowych dotyczy przede wszystkim kobiet, gdyż one stanowią 70—75% wszystkich chorych na gościec przewlekły — postępujący. Pierwsze dolegliwości mają wpływ różnego rodzaju zakażenia. Też należy zwalczać wszelkie źródła infekcji i usuwać ogniska zakaźne, takie jak: migdałki ze zmianami ropnymi, czy martwe zęby ze zmianami przy korzeniach. Być może, że pewna rolę w powstaniu choroby odgrywa też czynność gruczołów wydzielania wewnętrznego, szczególnie gruczołów płciowych, większość bowiem przypadków rozpoczyna się w okresie przekwitania. Wpływ na powstawanie gościa przewlekłego mają też takie czynniki, jak wstrząsy psychiczne, złe warunki życiowe, długotrwałe przebywanie w zimnych i wilgotnych pomieszczeniach, przemęczenie, niedożywienie i wreszcie urazy mechaniczne.

Gościec przewlekły jest chorobą tkanki łącznej, ale zmiany patologiczne prowadzą do trwałego zniekształcenia stawów, często z ich unieruchomieniem.

Choroba zaczyna się słabymi bólami stawów i mięśni oraz mrowieniem kończyn. Chorzy zwykle chudną, czują się osłabieni, czasem okresowo występują stany podgorączkowe. Po pewnym czasie, nieraz dosyć długim, bóle nasilają się, dotaczają się obrzęki i zniekształcenia stawów. Stawy stają się coraz mniej ruchome, szyb-

ko powstają zaniki mięśni w sąsiedztwie chorych stawów. Najczęściej zatakowane są stawy nadgarstkowe i stawy palców rąk. Gościec przewlekły — postępujący ciągnie się latami, nie leczony prowadzi nieuchronnie do inwalidztwa. Leczenie musi być ciągłe i systematyczne. Dotyczy ono zaleceń ogólnych — trybu życia, diety, oraz leczenia specjalistycznego, fizjoterapeutycznego i balneologicznego oraz farmakologicznego. Leczenie takie wymaga wytrwałości i cierpliwości ze strony chorych, a im wcześniej zaczniesz się je, tym większe są szanse na uruchomienie się przed ciężkim inwalidztwem.

Usztywniające zapalenie stawów kręgosłupa — jest to choroba zbliżona do gościa postępującego. W tym wypadku większość chorych stanowią jednak mężczyźni. Chorują najczęściej ludzie w wieku 33—45 lat. Zmiany chorobowe umiejscowione są w drobnych stawach kręgosłupa. Choroba prowadzi do usztywnienia kręgosłupa, często towarzyszy jej niedokrwistość i ogólne wyniszczenie. Leczenie jest podobne do leczenia przewlekłego gościa postępującego.

Gościec zwyrodniający jest chorobą zupełnie różną od poprzednio omówionych. Istota poprzednio omawianych chorób są zmiany toczące się w tkance łącznej, natomiast w gościec zwyrodniającym schorzenie jest następstwem zużycia stawów i polega na zwyrodnieniu chrząstki pokrywającej powierzchnie stawów. Postać ta występuje zwykle powyżej 50 roku życia. Do wystąpienia tej choroby przyczyniają się zaburzenia czynności gruczołów wydzielania wewnętrznego, zaburzenia przemiany materii oraz niedokrwienie spowodowane zmianami miażdżycowymi w naczyniach krwionośnych. Wśród chorych przeważają kobiety. Gośćcowi zwyrod-



niającemu często towarzyszy nadciśnienie krwi i otyłość.

Gościec zwyrodniający jest chorobą przewlekłą, jednak w odróżnieniu od gościa przewlekłego postępującego nie powoduje znaczniejszej utraty ruchomości stawów i inwalidztwa. Leczenie polega na stosowaniu leków przeciwbólowych, hormonalnych i jodu. Konieczne jest oszczędzanie zmienionych stawów, zalecane są zabiegi fizykoterapeutyczne, leczenie balneologiczne i gimnastyka lecznicza.

Najmniej groźna choć dokuczliwa postać gościa jest gościec mięśniowo-ścięgnisty. Objawia się on bólami szyi, szywnością oraz przekroczeniem niektórych mięśni lub tkanek otaczających stawy. Choroba czasami powstaje w związku z przebytym zakażeniem. Duży wpływ mają również zaburzenia wegetatywnego układu

nerwowego, wywierające wpływ na ukrwienie i odżywienie wszystkich tkanek. Często przyczyną tej postaci gościa jest przeciążenie pracą pewnej grupy mięśni lub ich grupy mięśni lub ich urazy. Powstaniu choroby sprzyja wreszcie zimno i wilgoć. Leczenie polega na wypoczynku, stosowaniu środków przeciwbólowych.

Dobre wyniki daje różnego rodzaju nagrzewania oraz masaże. Gościec mięśniowo-ścięgnisty jest najłatwiej poddająca się leczeniu postać gościa, zdarzają się jednak przypadki z nawrotami choroby. W takich razach skuteczne bywa leczenie balneologiczne (kąpiele solankowe, okłady borowinowe itp.). Warto wspomnieć, że gościec mięśniowo-ścięgnisty jest najczęściej zdarzającym się schorzeniem z grupy chorób reumatycznych.

LEKARZ



Rozmowy z Czytelnikami

„Droga Redakcjo, drogi Duszpasterzu! Od kilku już lat jestem stałym czytelnikiem Waszego poczytnego tygodnika, który bardzo lubię czytać, pomimo, że jestem wyznania rzymskokatolickiego. Już donykrotnie na łamach „Rodziny” otrzymałem odpowiedź na nurtujące mnie pytania odnośnie wiary. Mam do Was na tyle zaufanie, że wierzę, iż list ten nie zostanie bez odpowiedzi. Najbardziej lubię czytać i od niej rozpoczynam czytanie „Rodziny” — od rubryki „Rozmowy z Czytelnikami”. Zasadniczo wszystkie pozycje tygodnika są bardzo ciekawe i dlatego każdy numer czytam „od deski do deski”.

Niniejszy list piszę po przeczytaniu ostatniego numeru, jaki otrzymałem, tj. z dnia 16 sierpnia, a niejasne i kontrowersyjne są dla mnie niektóre fragmenty artykułu pt.: „Maryja”. Uważam, że nie można należycie kochać Syna, nie Kochając Jego Matki. Miłość do Matki Pana Jezusa, ale nie ponad Jezusa stanowi, że jestem nadal katolikiem. Kościół katolicki twierdzi, że naukę swą opiera na takim fundamencie jak Pismo św. i Tradycja. Jeśli tak, to nie rozumiem dlaczego wypacza i przekręca się naukę biblijną, a także streszczenie tej nauki, jakie jest zawarte w „Credo”, nazywając Matką Pana naszego Jezusa Chrystusa — Matką Boga? Dlaczego N.M.P. nie nazywa się po prostu Matką Pana Jezusa, lub matką Syna Bożego, tym czym była w istocie. Jak może stworzenie być matką dla swego Stwórcy?

Zgodnie z nauką biblijną, modlitwy były kierowane zawsze wyłącznie do Boga. Nie ma w całym Piśmie św. najmniejszej wzmianki, żeby ktokolwiek modlił się do kogoś innego prócz Boga, chyba poganie do swich bałwanów. Czy modlił się kiedykolwiek prawowierny Żyd np. do Noego, Abrahama czy Mojżesza?

Czy to nie uwłacza Panu Jezusowi, kiedy szukamy pośrednictwa Je-

go Matki, jakbyśmy nie mieli do Niego zaufania? On przecież powiedział: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście spracowani i obciążeni...” Kto w pokorze i z wiarą przystąpi do Tronu Łaski, tego Jezus Chrystus nie odrzuci. Mając taką rekołmię, jaka są słowa samego Jezusa — Boga, który się nie zmienia, po cóż nam pośrednictwo? Wydaje mi się, że pośrednictwo jest wzięte z życia na ziemi, ale u Boga jest przecież inaczej.

Na zakończenie listu, wszystkim pracownikom „Rodziny” składam życzenia zdrowia i Bożego błogosławieństwa.

Podpisany Stanisław N.
z Międzyzrzecza

Drogi Panie Stanisławie! W Piśmie św. nie spotykamy nazwy Bogarodzicielka, Matka Boga, Niepokalana, Wniebowzięta, Łaski Pośredniczka, Dziewica itp. tytuły, którymi Kościół określa Matkę Pana naszego Jezusa Chrystusa. Wszystkie nazwy Maryji przyjmujemy poprzez wyjaśnienie tekstów Pisma św. Kwestionowana przez Pana nazwa „Matka Boga” przysługuje Maryji z tytułu Jej macierzyństwa. Jeśli Syn Maryji, Jezus Chrystus jest „Synem Bożym”, to słusznie wnioskujemy, że Maryja jest Matką Bożą. Sw. Paweł w liście do Galatów pisze, że „gdy nastąpiła pełność czasu, zesłał Bóg Syna swego powstającego z niewiasty, podległego zakonowi” (Gal 4:4). Oczywiście, że Maryja jest jedynie matką

ludzkiej natury Chrystusa i tylko przez nią jest matką Syna Bożego i Rodzicielką Boga; nie jest więc matką bóstwa. Przy tym stwierdzeniu trzeba pamiętać, że ludzka natura w Chrystusie i Jego boska natura ma tylko jedną osobę, Bożą osobę. Nazwa Boża Rodzicielka wyraża prawdę, że jeden i ten sam Syn Boży istnieje w dwu pełnych, nie zmieszanych, nie zmienionych naturach: boskiej od wieków i ludzkiej, przyjętej w czasie z Maryi Dziewicy.

Maryja jest nierozdzielnie związana z Chrystusem i dlatego religijne uznanie dla Zbawiciela i Jego cześć musi zawierać w sobie uznanie i kult dla Niej. Kiedy mówimy o kulcie dla Najświętszej Maryi Panny, czci Jej oddawanej, modlitwie do Niej kierowanej, pamiętamy, że kult w pełnym znaczeniu oddajemy tylko Bogu. Gdyby kult dla Matki Najświętszej nie prowadził do kultu Boga i Chrystusa, byłby zabobonny. Anioł pozdrawia N.M.P. oddając Jej cześć słowami: „Bądź pozdrowiona, łaski pełna, Pan z tobą, błogosławionaś ty między niewiastami” (Łk 1:28). W słowach Anioła mieści się właściwie cały późniejszy kult Maryi oddawany Jej przez Kościół. Maryja sama o sobie mówi: „Odtąd błogosławioną mnie zwać będą wszystkie narody” (Łk 1:48). Teksty te są tak wyraźne i oczywiste, że trudno mieć wątpliwość co do boskiego pochodzenia praktyki modlitwy do N.M.P.

Sprawa pośrednictwa Matki Bożej może budzić najwięcej kontrowersji. Nie ulega wątpliwości, że Jezus Chrystus jest właściwie jedynym pośrednikiem między Bogiem i ludźmi. Matka Najświętsza, podobnie jak wszyscy ludzie, została odkupiona przez Jezusa Chrystusa. Osobiście staram się korzystać z pośrednictwa N.M.P. Do tego religijnego aktu skłania mnie między innymi ewangeliczny opis wesela w Kanie Galilejskiej. Skłoniony matczyną prośbą Jezus Chrystus dokonał cudownego znaku, dzięki któremu „uwierzyli weń wszyscy uczniowie Jego” (J 2:11). Jestem przekonany, że Panu Jezusowi nie uwłacza szukanie pośrednictwa Jego Matki. Wręcz przeciwnie, uznając Jej godność, uznajemy godność Jej Syna i jedynego pośrednika między Bogiem i ludźmi.

Życzę Panu i wszystkim Czytelnikom, by Maryja, Matka Jezusa Chrystusa, Matka Syna Bożego, Bogarodzica, swą matczyną miłością rozpromieniła całe nasze trudne życie. Słowa te piszę w chwili, gdy nasza Ojczyzna przeżywa trudne chwile od-

nowy. Wspominam o tym, by wyrazić swoją wiarę, że tak jak każda matka jest ogniwem jednoczącym życie rodzinne, tak i Matka Boża, Królowa Polski, zjednoczy nas wszystkich w życiu dla Boga i w życiu dla naszej Ojczyzny.

DUSZPASTERZ

HUMOR



U W A G A — CZYTELNICY!

Od 1 stycznia 1981 r. — zmiana ceny tygodnika „Rodzina”.

Od dn. 1 stycznia 1981 r. 1 egzemplarz tygodnika „Rodziny” kosztować będzie 4 zł. W związku z tym zmienia się cena prenumeraty, która od 1981 r. odpowiednio będzie wynosić:

roczna	—	208 zł.
półroczna	—	104 zł.
kwartalna	—	52 zł.

Zamawianie prenumeraty tygodnika „Rodzina” należy dokonywać wyłącznie za pośrednictwem przedsiębiorstwa „Ruch” i u doręczycieli. Redakcja nasza nie przyjmuje zgłoszeń na prenumeratę tygodnika „Rodzina”.

rodzina
TYGODNIK KATOLICKI

Wydawca: Spółeczeństwo Towarzystwa Polskich Katolików, Zakład Wydawniczy „Odrodzenia”. KOLEGIUM REDAKCYJNE PRZEMIAĆ FUNKCJE REDAKTORA NACZELNEGO: ks. Edward Balchier, bp Maksymilian Rode, ks. Tomasz Wajtowicz, ks. Wiktor Wysoczański (przewodniczący Kolegium); ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Marek Ambroży, Henryk Ciok (redaktor techniczny), Małgorzata Kapińska (sekretarz redakcji), Elżbieta Łonka, Irena Świątkowska (korekta).

Adres redakcji i administracji: ul. Kładziwa 4, 00-662 Warszawa. Telefon redakcji: 27-89-12 i 27-89-33; administracji: 27-84-33. Wpłaty na prenumeratę nie przyjmujemy. Pionujemy na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach: — do dnia 25 listopada na I kwartał i I półrocze roku następnego i cały rok następnny; — do 10 marca na II kwartał roku bieżącego; — do 10 czerwca na III kwartał; II półrocze roku bieżącego; — do 10 września na IV kwartał roku bieżącego. Cena prenumeraty: kwartalnie 26 zł, półrocznie 52, rocznie 104 zł. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy samowolają prenumeratę w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch”, w miejscowościach zaś, w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Centrala Kierownicza Prasy i Wydawnictwa, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP nr 1153-201645-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy. Druk PZG Sm. 10. Nr zam. 1071. C-56.



Na końcu wielkiej alei grabowej, jak w korytarzu z alabastru, stoi pod ciężkimi splotami gałęzi wiotka postać, prawie mała wśród mroźnych olbrzymów.

Stefcia opiera się plecami o skostniały pień grabu. Spod czapeczki patrzy na śnieżną przestrzeń i ciemniejszą taśmę drogi. Stoi na wzniesieniu. Mur okalający park nie zasłania jej widoku.

Wzrok leci i leci w sinawą dal, jaskółczym skrzydłem przebiega szafirowy wał lasu i pędzi dalej bez końca. Jest punkt, gdzie się zatrzymuje, dokąd właściwie daży, punkt świetny, rdzeń wielkiego koła ziemi, co go otacza. Dziewczyna stoi bez poruszenia. Pomysleń by można, że szron spadający z drzew i ja ścina w posąg, ziemi ostrym technieniem.

W oczach jej błyszczą tęskna myśl, się ja na drogę, wysłała daleko, tam, gdzie i dusza rwie się z niepowstrzymana siła. Wielkie oczekiwanie czegoś, co napelnia rozkosz, ale tak subtelna, że ledwo wyczuła, jest niepokojące jak oczekiwanie katastrofy. W takiej chwili wzrok słuch skupia się w sobie, wysłała do naprężenia i męczy. Zaż odwrócić oczy, aby nie stracić jednego momentu, żał się poruszyć, aby nie spiczys najbliższego zesełtu. Cała istota ludzka zamienia się w posąg, pod którym można by napisać: „Czy nadzieje!... szczęście lub rozpacz.

W taki posąg oczekiwaną zaklęta była Stefcia. Oczy wpiła w drogę, bojąc się ruszyć. Powstrzymywała oddech w piersi, chwytała uchem każdy szmer. Przyszła tu wiedzioma przecuciem, że on ma przyjechać, i czeka cierpliwie. Nikt jej nie mówił, nikt się go nie spodziewa, ale ona wie, że już jest w Głębowiczach... jakiś głos jej szepce: „Dziś tu będzie!”

Wyjeżdżał daleko, na polowania. Długo nie wracał. Musiał odbyć kampanię zaprosin.

Jak się ten czas włókł sennie, bezbarwnie!... Szare, dżdżyste dni zdawały się plakać szlochały drzewa. Wichry jakim zwablały wcześniej czarne noce, nieskończone, pełne lkań, skargi, ponurej grozy. Wielka melancholia, odległość tych dni bez jaśniejszego promyka dławiała serce. Rwało się wszysko głucha rozpacz na widok przegnitych liści szarpanych wichura, osłzłych gaezi, z łopotem bijących o siebie. Ale natura jest usposobienia wesolego, nie znośi długich lkań, nawet po pięknym lecie nie potrafi plakać bez przerwy. Następnie przesył smutku! wówczas nabiera hartu, zamraża lzy, chce gwałtem przykryć swą zgniliznę, lecz jej brakuje barw. Nie stać ją już na zieleń i kwiaty. Otaeja ja biała zieleń. Też jej, tworzy zwój białej, sypie na drzewa delikatną sadz, na szerokie konary rzuca wielkie szmatey puchoń. Jest biała jak panna młoda, ale nie odpowiada tej nazwie. Szped ją chłód. Fragnie okrasid się ziołem. Rozsuwa ciężkie grantowe zasłony chmur, wypuszczając słońce z uwięzi. Radosny, rozweselony, wyspany, wygląda złoisty krąg na świat Boży i staje w osłupieniu. Hlednie z przerażenia, cofając się wysoko w górę. Gdzież są laki pełne kwiatów? Gdzie owoce, gdzie drzewa zielone, które zmieniły się pod jego technieniem w śliczne, jaskrawozłote lub krwawe jak pożar? Rozpanoszyła się biel cślepiająca i pokryła wszystko gruba warstwa. Jakby na urazewisko wywołuje słońce, by spogladalo na jej matowate. Złoty krąg coła się w górę, rzuca słabe ukocne promienie. Jest nieufne, oburzone. Tyle wieków patrzy ono na kaprysy ziemi i zawsze się zdumiewa. Przeciąg wiosny i lata zapomina o przyszłych szaryznach.

szczęście zaglusza wszystko, co nie ma złota w blaskach. Gdyby się działo przeciwnie, rozkosz w szczęściu nie byłaby całkowita. Słońce wyrzuca sobie własną opieszalność, przygotowuje się do walki z ziemią. Przechwya wiele pracy, zanim ten pancerz ledowy rozkruszy, zanim spruje pyszną szatę ze srebrnej lamy ciężko strojząca świat. Ze wzgarda spogladła na groźne szanice śniegu i systematycznie rozpoczyna prace. Wypatruje ciekawie, aby znaleźć najszabsze miejsce, uderzyć i przebić zapórę. Wszedła napotyka ostre uzbrojenie: chłód, marmur białych, mroź. Zniechęcone przegladem zaczyna się zasuwac do snu. Jest gniewne, plonie gorąca fala, stacza się niżej i niżej, zalewając ziemię potopem czerwieni. Ciska na błady koloryt nieba snopy jaskrawych obloczków — swych pazłów. One zapowiadają niewdzięcznej ziemi następująca noc — jako arke słońca.

Stefcia stoi w lunie pożarów, rozświetlona, rozblyszka ogniem. Mruży oczy, różnwe plomyki ślizgają się po jej twarzy. Dla niej ta biała szata nie przyniosła zmiany. Dnie wlotka się tak samo nieskończenie metne, bezświetlne, jak wówczas gdy mrok i wichry panoszyły się wszechwładnie. Piękna, chłodna biel trwała już czas jakiś, ale srebrna droga pustła. Głucho było w duszy Stefci i teraz luny się pala na niebie, idzie mroźna, duża noc. Przechwya zawiody: coś, co ja pchało na ten wzgórek, skryło się pozostało bez nazwy. Droga błyszcząca wyszlizgana zocła się do najdalejszych granic zachodem słońca. Białe pola przybrały ton delikatnej barwy różowej. Wierzby stojące droge miały fioletowe odcienie; im dalej w głąb, tym stawały się bardziej fioletowymi. Małe słodka szafirowych kawek spadały z głośnym krzykiem na zamrożone lany, błyszcząc niby diety na pluszach. Czesem zrywały się, jakby przestraszone.

Nagle w aparacie wpatrzonych oczach Stefci coś zamajaczyło. Na różach pól, w oddali, wśród fioletowych wierzb, ukazał się punkcik drobnutki, zaledwo widoczny. Ale pojawiwszy się nie zniknął. Rósł w oczach, wyrażniał, potężniał i sunął naprzód. Jak błyskawica, ukazując się, zatamowuja oddech w piersi w oczekiwaniu gromu, tak Stefcia, wpatrzona w pływający punkt, znieruchomiała. W ciszy krwawego zachodu zadźwięczało w oddali i rozlewało się brzmieniem coraz głośniejszym.

Dziewczyna niby rżona gromem, zadrziała. Ramiona jej podniosły się do ucieczki, ale nogi miała jak z ołowiu. Chciała się zerwać, biec w głąb parku i nie mogła. Przestrasza, radość, burza wzruszeń odbiła się na jej twarzy. Poznala janczary z Głębowicz.

Nie omyliło przecucie.

Z wysiłkiem zocłała się cofnąć głebiej. Oparta o oszroniały pień, z szalonym wrem w pulsach słuchała brzuku janczarów i parskania klusujących różno koni. Łowila uchem lekkie skrzyp płóz i delikatne dźwięcznie uprzyży. Spód przymkniętych oczu widziała eleganckie sanki i pare tegich koni, przykrytych szafirową siatką. Widziała ich wygięte głowy, rozwarte chrapy i oczy czerwone w zachodnie słońca, jak pochodnie. Widziała koło uszu końskich powiewające ogny lisie, futrzana liberie stangreta i lokaja, złote guzy, błyszczące jak świeczki. Serce jej tłukło się w piersi, miała wrazenie, że pęknie i że zajdzie coś złego. Wrażenie rosło, stało się strasznym. Sanki przed murem skręciły w bok. Stefcia zdretniała: rozkolatanę serce zamarło. Siedzacy w sankach mężczyzna zrobił nagły ruch, jakby chciał wyskoczyć. Lecz się wstrzymał, tylko drżaca ręka uniosł czapkę, pochylając nisko wytworna głowę. Sanki pomknęły, dźwięcząc już niewidocznymi janczarami.

Stefcia schwyliła się za głowę.

— Przyjechał! — krzyknęła w obłąkaniu — widział mnie! Szczęście bezmierne wrzało w jej duszy, kipiało we krwi. Porwała się z miejsca i lekka jak ptak pobiegła śnieżną aleją w stronę palacu. Na zakręcie, koło zamrożonego basenu fontanny stanęła. Krew zasłygła w jej żyłach. Na przeciw szedł Waldemar.

Zbliżał się predko, w rozpiętym furtze, z oczyma utkwionymi w niej. Obok biegi w susach Pandur, dopadł do Stefci i wesolo poszczekując wznosił się łapami na jej zakieci. Dziewczyna oniemiała. W głowie jej huczalo. On!... on!...

Michorowski stanął przy niej, w milczeniu wziął w swe dionie jej złodo, waciące ręce. Wpatrzni w siebie, nie mogli przemówić. Jego oczy były granatowe, fale przelatywały mu przez twarz. A Stefcia, choć niewyraźnie, czuła, że to przełom, że mgły plezchają otwierając złote wrota, aby ukazać jej prawdę niesivchaną a cudowna. Czuła, że jej marzenia, sny niepochwytnie ubierają się w formy prawdziwe, przecucie mówiło, że ta nowa szata będzie jeszcze drocenniejsza od dawnej. Stefcia przeżywała jedną z chwil, w których dusza ulatuje z czołowika w tęczowej aureole niezmiernego szczęścia. On disał jej ręce w dionach, siłą oczu wdzierając się w głąb jej duszy. Stał pewny swej siły świadomy celu, trochę dumny z uruku, jaki wywierał. Foczył głowę i długie a serdecznie ucałował ręce drżące Stefci. Oczy jego mówiły: „Czekałaś na mnie... tęskniłaś... oto jestem!...”. Stefcia zrozumiała, oblał ją gorący war. Powoli, z dyotem szczęścia, wysunęła dionie z jego rąk i zaczęła dś szybko do palacu.

On postępowal obok.

Nie mówili do siebie nic. Pandur wyprzedził ich, stanął na marmurowych schodach werandy i patrzył na zbliżającą się parę z podniesiona głowa i powaga w swych rozumnych, psch oczach. Dziwił się, że nie uważają na niego.

Byli już koło werandy. Nikt nie wychodził.

Otwierając drzwi Waldemar rzekł pierwsze słowa

— Pani odgadła, że dziś przybede. Czy to przecucie?

— Tak.

— Więc sugestia! Jadac myślałem, że zastane panią w parku, i... ujrzałem cię w tych zrzach wieczornych. Odeslałem konie od bramy, by cię powitał pierwszy.

Słowa jego sprawiały Stefci niewysłowna rozkosz.

Na odgłos otwieranych drzwi zjawił się Jacency z całym zastępem lokai, Ruch powstał w dychym przed chwila palacu.

— Ordynat przjechał! — brzmiało wszędzie, wywołując radość ogólna.

Do wieczery zasiedli wszyscy w wybornych humorach. Pan Maciej, rozczulony przyjazdem wnuka, parzał na niego jak w obraz. Pani Elzonowska wypytowała Waldemara o polowania i znających Frimco czestych sprzeczek witała go mile: jego wytwornosc i trochę sarkastyczny dowcip dzialaly na nią ozywczo. Waldemar odpowiadał na zapytania uprzejmie, ale męczyły go te wywady. Głównie pani Idealia i pan Ksawery nie dawali mu spokoju. Lucia i Stefcia siedziały najciszej, tylko dziewczynka bez przerwy wpatrywała się w Waldemara, a Stefcia wyraźnie unikala jego wzroku. Bała się, aby z jej zrenie nie wyczerzał tego, co powiedziały jego oczy w zamkniętym parku. Nie domyśliła się, że i on odgadł wszystko, że zajął do głębi jej duszy, wyczuł taino jej serca...

Ogarniał ją niepokój. Miała wrażenie, że coś wisi w powietrzu i spadnie na jej głowe. Czuła gorączkę, jakiej się doznaje przed odjazdem w daleką podróz, w ostatniej chwili pożegnania z najdroższymi. Męczyła się, nie pojmując skąd pochodziła ta niepojeta trwoga, coraz bardziej wzrastająca. Lekka bladeść na jej twarzy zauważył pierwszy ordynat, dostrzegł pomieszenie dziewczyny, lecz nie chciał jej dręczyć pytaniami wobec wszystkich. Jej niepokój udzielił się jemu...

Pan Maciej popatrzał na nią przeciągle. Zachowanie się Stefci zastanowiło go.

— Co ci jest, dziecko?

— Boję się... — odparła szczerze.

Spojrzeli po sobie. Mgła przeleciała po twarzach.

— Ale czego?

Zapytana uśmiechnęła się blade.

— Proszę nie uważać na mnie. To minie...

Rozmowa przycichła. Wszyscy byli zważeni.

Herbatę podano w małym salonie. Przy płonącym kominku rozmowa ożywiła się.

Nagle wszedł służący, niosąc srebrna tacke. Zbliżał się wprost do Stefci. Ona wpiła w niego oczy.

— Co to? — spytał ordynat.

— Telegram, prosze jaśnie pana, do...

— Do mnie! — zawołała Stefcia.

Lokaj sklonił się twierdząco.

Wszystkich oczy spoczely na niej, potem na twarzy ordynata.

— Tak, do pani — rzekł ten ostatni powstając i oddał jej kopertę.

Rozwarła opakie. Na polczkach miała gorące wypieki.

Obecni zataili oddech w piersi. Niepokój nauczycielki przy obiedzie i ten telegram do niej przeraził ich.

Stefcia przeczytala i opuszczając papier na kolana, rzekła bezdźwięcznym głosem.

— Babcia umarla. Wzywają mnie na pogrzeb.

Odcichnęła. Spodziewano się czegoś gorszego.

Tylko pan Maciej zadrział, jakby mu widmo zajązalo w oczy.

— Czy to zmarła babcia Rembowska? — spytała Lucia.

Stefcia wybuchnęła płaczem.

— Tak. Biedna babcia! Tak ją kochalam!... Boże! Boże!

— Długo chorowała?

— Zmarła nagle w Ruczajewie. Nic nie rozumiem. Babcia bawila ciągle za granicą. Muszę zaraz jechać, inaczej nie zdązę: telegram spóźniony.

Zerwała się z miejsca.

Młody Michorowski spojrzal na zegarek.

— Czy pani stanowczo chce dziś jechać?

— Muszę. Abym tylko zdązyla na pociąg.

